



śladem
anonimu



wolni
Komancze



mała
penetracja...



fan-club

KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

8

(176)

KONTAKTY
26 II 1984

cena
10 zł



Wśród wielu zaproszeń, jakie nadeszły do redakcji, jedno było tej treści: „Wiadomym powszechnie czynimy, iż najstarsi Żakowie zacnego Collegium na igrce swe a swawole staropolskiej tradycji zadość czyniąc na 100 dni przed Maturą sejmik Studniówką zwanym odprawić zamiarują”. Nadawcą było Liceum Ogólnokształcące w Zambrowie. Na sejmiku zwanym Studniówką byliśmy. Igrce i swawole czyniliśmy. Poloneza (z panią dyrektor w pierwszej parze) oglądaliśmy. Kurczę pieczone oranzadą popijaliśmy (zgodnie z uchwałą z 13 maja 1983 roku). Wszystkim maturzystom życzymy wytrwałości.

ADAM JERZY SOCHA

jak zostałem pasożytem

O tym, żeby zostać pasożytem, marzyłem od najmłodszych lat. Rodzice tyrali od rana do nocy, a i tak margaryna królowała na naszym stole. Za to pan Leos, o którym ojciec mówił, że nie orze, nie sieje, a zbiera, miał dużo wolnego czasu, zawsze był wesół i dawał nam na cukierki. Więc jak pani w szkole zapytała, kim chciałbym zostać, powiedziałem, że panem Leosiem.

Moje marzenie długo nie mogło się ziścić. Aż nagle któregoś dnia otrzymałem wezwanie: „W związku z wprowadzeniem obowiązku wykonywania pracy na terenie miasta Łomży przez osoby ujęte na ewidencji osób nie pracujących i nie pobierających nauki w szkole, na podstawie zarządzenia nr 54/83 Wojewody Łomżyńskiego z dnia 17 grudnia 1983 r., w sprawie wprowadzenia obowiązku pracy dla osób uchylających się od pracy wyzwa się Obywatela do stawienia się w dniu 20 stycznia 84 r. celem skierowania do wykonywania odpłatnie robót na cele publiczne. Okres trwania pracy wynosi 60 dni roboczych. Za niestawienie się w wyznaczonym terminie bez usprawiedliwionej przyczyny grożą sankcje wynikające z art. 21 ust. 1 ustawy z dnia 26 października 1982 roku o postępowaniu wobec osób uchylających się od pr. cy. tj. kara ograniczenia wolności do 1 roku, Prezydent Miasta”.

Po raz pierwszy miałem szansę zostać „niebieskim ptakiem” już w 1968 roku. Wówczas to sporządzone stosowany projekt aktu prawnego przeciwko nierobom. Niestety, wszystkie zainteresowane

Fotoreportaż str. 3

CIĄG DAJSZY NA STR. 5

W NASTĘPNYM NUMERZE: prof. Bogdan Suchodolski o filozofii nadziei • czyli rozbitka, czyli perypetie życiowe Romka S. • wyścig do sedy albo „Sępie tango” • „Kontakci” z wynikami konkursu rysunkowego • Grabarka w kadrze • Bob Dylan (2).

3 868 117 000 złotych wydali na alkohol w ub.r. mieszkańcy Łomżyńskiego. 840 645 tys. więcej niż w r. 1982, nie licząc alkoholu wykupionego z „Pewexu” (ok. 1 mln dol. USA). Nakłady na oświatę, kulturę i służbę zdrowia — bez inwestycji — przeznaczone na obecny rok: 3 651 416 000 złotych. W województwie jest 466 punktów sprzedaży alkoholu (w Świecku — 315). Od 1 lutego 1984 r. zezwolenie na sprzedaż piwa uzyskało 430, na sprzedaż wina — 261, wódki — 113 jednostek handlowych. Do tej liczby należy dodać 187 zakładów gastronomicznych. Na 3696 sprawców wykroczeń 2131 osób, w chwili ich spowodowania, było w stanie nietrzeźwym.

Podkomisja sejmowa ma rozpatrzyć projekt nowelizacji ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi.

WALKA ZE STUGŁOWYM SMOKIEM. Tak można podsumować usiłowania zmierzające do likwidacji zjawiska spekulacji towarami. W ub.r. w działaniach antyspekulacyjnych udział wzięło w sumie 4560 osób, głównie funkcjonariuszy milicji. Wartość towarów, która znalazła się w spekulacyjnym obiegu wyniosła 22 mln zł. (mowa o spekulacji wykrytej). Do nagminnych kombinacji należy sprzedawanie przez dostawców towaru na „lewo” i podbijanie w sklepie, do którego miał towar trafić, dowodów dostaw: spekulowanie towarami wykupionymi po cenie detalicznej, sprzedaż protekcyjna przez personel sklepowy, spekulacja towarami kupionymi za dolary (głównie alkohol). Do wymownych przykładów należy „dwanowa afera” w Wysokim Mazowieckiem. Kierownictwo sklepu PSS „Społem” sprzedało na zapleczu 91 dywanów o wartości łącznej 1 100 tys. zł. Organa ścigania mają się obecnie zastanawiać nad zwalczaniem spekulacji zorganizowanej oraz na przecinanie kanałów przerzutu towarów z zakładów gospodarki społecznej. Ludzie, którzy zawodowo zajmują się problemem spekulacji, nie mają złudzeń, że póki będzie głód towarów, póty smokowi na miejsce jednej uciętej głowy będzie odrastać pięć nowych.

NAJTRUDNIEJSZA SYTUACJA w usługach pocztowo-telekomunikacyjnych panuje w Łomży: dwa urzędy nie są w stanie obsłużyć 45-tysięcznego miasta. Powróciło do tego problemu Prezydium WK SD w Łomży na ostatnim posiedzeniu. Najlepiej jest w Grajewie, Zambrowie czy Wysokim Mazowieckiem. Na 104 placówki pocztowo-telekomunikacyjne obsługujące województwo, tylko 18 urzędów znajduje się w budynkach własnych. Nadal w wielu gminach korzystać trzeba z — pamiętających króla Cwieczka — ręcznych central telefonicznych. Liczne wsie nie mają całodobowych połączeń. W opinii Prezydium należy do 1985 roku rozpocząć budowę centrali automatycznej w Łomży. Już teraz należałoby przejściowo zainstalować w osiedlu Południe w Łomży centralę kontenerową na 1000 numerów.

TALON na akumulator do ciągnika oraz bon towarowy wartości 1000 złotych wygrał Andrzej Góralczyk na zorganizowanej przez Gminny Zarząd ZMW w Czyżewie Gminnej Olimpiadzie Wiedzy Rolniczej.

I WOJEWÓDZKI KONKURS Twórczości Technicznej Dzieci i Młodzieży rozpisала Dyrekcja Wojewódzkiej Pracowni Dydaktyczno-Technicznej w Łomży. W XXX-lecie PRL. Trzyetapowy konkurs uwieńczy we wrześniu 1984 r. wystawa najciekawszych prac konstrukcyjnych i modelarskich. Organizatorzy przewidzieli liczne nagrody rzeczowe i dyplomy pamiątkowe, które otrzymają autorzy wyróżnionych eksponatów.

PODCZAS DWUDNIOWEGO szkolenia w Grądach Wonięcku pierwszy sekretarz POP z jednostek Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych i RUSW, prokuratury, sądu, zawodowej straży pożarnej, LOK oraz Wydziału Spraw Społeczno-Administracyjnych UW z województwa łomżyńskiego spotkali się z I sekretarzem KW PZPR w Łomży, Włodzimierzem Michałukiem. Z tej

okazji kierownicy wojewódzkich organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości poinformowali o aktualnej sytuacji w województwie w zakresie walki z przestępczością i patologią społeczną.

Z TEJ SAMEJ ŁĄCZKI. Mimo ciągle ponawianych przez PIH wniosków na kolegia za oszukiwanie klientów przez sprzedawców wazowników, nie się zmienia. Nadal gatunek II sprzedaje się jako I, wciąż zawiązuje się ceny. PIH wielokrotnie informował kompetentne czynniki, wydające zezwolenia na prowadzenie sprzedaży, o tych agentach, którzy notorycznie plać grzywny i mimo to robią swoje. Zrzeczenie Prywatnego Handlu i Usług oraz Wydział Handlu UM w Łomży nie reagują.

DLACZEGO BIAŁOSTOCKIE? Takie pytanie zadaliśmy kierownikom filialnych zakładów działających w Łomży. Oto odpowiedzi:

« Białostocka Fabryka Mebli: — Dyrekcja swego czasu zrobiła analizę ekonomiczną udowadniając, że nasze odłączenie się od Białegostoku będzie dla nas nieopłacalne. Podzielam to zdanie. Tym bardziej to nierealne, gdy zaopatrzenie jest teraz takie niepewne. Ponadto w opanciu o fundusze dyrekcji kończymy poważną inwestycję, której o własnych siłach nie byłibyśmy w stanie rozpocząć. Może w przyszłości o tym pomyślimy.

« Białostockie Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego: — Jesteśmy zbyt małą jednostką, aby marzyć o samodzielnosci. Nie stać by nas było np. na zakup obrabiarki. Gdyby nas połączono z Fabryką Mebli, to byłby interes. Oni nie musieliby po nocach rozładowywać wagonów przychodzących gdzieś z Polski, a my nie musielibyśmy ładować tarcicy, by ślać ją na drugi koniec kraju. Tylko kto dzisiaj jest zainteresowany, by produkować tarcicę? Tak jest łatwiej, można ukryć niedowład organizacyjny i błędy gospodarcze. Poza tym filialnym zakładem łatwiej jest się zasilać przed pracownikami przy niepomysłnej koniunkturze dyrekcją w Białymstoku.

« Białostockie Zakłady Drobiarskie: — Białystok posiada, w odróżnieniu od nas, rozbudowane zaplecze. Utworzenie samodzielnej jednostki pociągnęłoby za sobą konieczność powiększenia administracji. A tak nie musimy martwić się o zaopatrzenie, księgowość, serwis zootechniczny... Czy odważyłbym się wziąć zakład w ajencję? Tak.

« Białostockie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich: — Nie mamy żadnego zaplecza. Zatrudniam 60 ludzi, na stanie mam 35 pojazdów. Nasza działalność ogranicza się

do pogotowia technicznego. Ciężki sprzęt jest w stanie naprawiać tylko Białystok, posiada do tego hale, suwnice. Chcąc się usamodzielnąć musielibyśmy tworzyć wszystkie działy począwszy od zaopatrzeniowego. Trzeba być samobójcą, żeby odrywać się, gdy istnieje centralny rozdzielnik części zamiennych. Jesteśmy za dużą firmą, żeby utworzyć zakład ajencyjny, a za małą, by się usamodzielnąć. Powiedzmy: 5 samochodów, wtedy bez namysłu wziąłbym zakład w ajencję.

Z RADOSCIĄ POWITANY beniaminek wśród łomżyńskich zakładów Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich, które ma uniezależnić nas od kaprysów firm z innych województw, nie może wyjść z powoliaków. Ma już 6 biur, ale nie może się dociec o sprzęt. Praca na wydzierzawionym sprzęcie nie miałaby sensu, gdyż znacznie podrożyłaby koszty inwestycji.

PO REMONCIE otworzyła podwoje Rejonowa Przychodnia przy Armii Czerwonej w Łomży. Do zwolnionych pomieszczeń przy Szosie Zambrowskiej wprowadziły się z baraków przychodnie specjalistyczne. Do czerwca 1984 roku przybędzie tu jeszcze rentgen, laboratorium, bakteriologia, rehabilitacja oraz przychodnia urazowo-ortopedyczna. Z kolei barak, po remoncie posadzki, stanie się siedzibą bezdomnej Terenowej Stacji Sanepidu.

DYNAMICZNIE rozwija się powstała w ub. roku Spółdzielnia Rzemieślnicza „Producent” w Łomży, zrzeszająca różne branże. Kadra biurowa liczy 7 osób. „Producent” skupia głównie zakłady budowlane, zamierza wkrótce uruchomić produkcję poszukiwanych pustaków, zaś w przyszłości — mebli.

NA MAŁĄ CZARNĄ będzie można już wkrótce wpaść do nowej kawiarenki, która zostanie otwarta w miejsce baru, w zespole handlowo-usługowym „ABC” przy Świerczewskiego w Łomży.

POLECIAŁY SZYBY w „Eldomie” przy Armii Czerwonej w Łomży, podczas dostawy towarów w ub. tygodniu. Zorganizowana grupa młodych ludzi bezwzględnie wyrzuciła z kolejkę te osoby, które nie figurują na „ich” liście. Skąd więc ta nerwowość, panowie?

gościli w Łomży

Władysław Komar — mistrz olimpijski z Monachium — spotkał się z młodzieżą Zespołu Szkół Rolniczych w Marianowie oraz z sympatykami w klubie „Orion” w Zambrowie; Władysław Waldziński — dyrektor Okręgu Poczтового i Telekomunikacyjnego w Olsztynie — przebywał na zaproszenie WK SD w Łomży.

zaprosili nas

Zarząd Wojewódzki i Miejski Ligi Kobiet Polskich, Wojewódzki i Miejski Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy, Przedsiębiorstwo Obrótu Napojami Alkoholowymi „PONAL” Oddział Okręgowy w Białymstoku na konferencję prasową: „Jak realizujemy ustawę o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi”.

List otwarty do Wojewody Łomżyńskiego

Od sześciu lat stoją w Łomżyńskim trzy pomniki symbolizujące bez-troskę, bezzadność i bezczynność. Pomniki te — to rozbudowane budowy przyszkolnych krytych basenów w Ciechanowcu, Łomży i Szczuczynie. Po zalaniu fundamentów, postawieniu stalowych konstrukcji „budowniczo-wie” rozpięchli się pozostawiając inwestycje niszczącemu upływowi czasu.

Młodzież szkolna, której znaczny procent ma wady kręgosłupa, z braku możliwości ćwiczeń korekcyjnych w basenie na zawsze zostanie kalekami, nie mówiąc już o krzyżującym paradoksie, że młodzież mieszkająca nad rzeką nie ma możliwości nauki pływania; dysponuje za to znakomitym przykładem, jak można zaprzepaścić cenną inicjatywę i roztrwonić stworzoną szansę.

Te trzy pomniki — to antylekcja wychowania obywatelskiego. Pora przerwać ten demoralizujący bezwład i przestać udawać, że nie ma problemu. Zamiast chować się za dymną zasłonę braku tzw. mocy przerobowych, materiałów itd., niech administracja i związki sportowe ruszą komórkami, by znaleźć argumenty za, a nie przeciw.

Przykład szczuczynskiego POM-u, którego pracownicy bez odgórnych poleceń postanowili dokończyć budowę basenu, wymownie świadczy, że wystarczy chcieć, by móc. Nie we wszystkich jednak zastąpią administrację społeczniczy. Potrzebne są decyzje ludzi, do których, z racji pełnionych obowiązków, należy zakończenie tej smutnej farsy.

Obywatelu Wojewodo, opinia publiczna czeka pilnie na jedną odpowiedź: zaczynamy pracę.

Z upoważnienia Czytelników — „Kontakty”.

zdanie tygodnia

„Nie ma złych czasów dla ludzi, którym na czymś naprawdę zależy”

(z listu do „Kontaktów”)

wiadomości kulturalne

TEGO SAMEGO DNIA otwarto w Łomży dwie wystawy: rysunku Władysława Mściłchowskiego (w Domu Srodowisk Twórczych) oraz fotograficzną Kazimierza Centkowskiego (BWA), poświęconą Grabarce. Z okazji tej drugiej wystawy odbyła się łomżyńska premiera filmu Grażyny Kędzielawskiej — „Góra” (recenzja w wystawie Centkowskiego i filmu w najbliższym numerze „Kontaktów”). Na zaproszenie Domu Srodowisk Twórczych — z monodramem i piosenkami współczesnych poetów polskich — przybyli Krzysztof Zylinski oraz Andrzej Głowacki.

Z POWODU trzęsienia ziemi w Pernambuco trzeba było przerwać pokaz filmów francuskich w Domu Srodowisk Twórczych. P.T. Publiczność ma nadzieję, że na zapowiadany maraton filmowy w dniach 24 i 25 bm. dyrekcja DST zdąży przeczyszczyć komin, by uprzedzić ewentualne odwołanie imprezy (na wiały hałas nie będzie się można powołać: górale zapowiadają bezwietrzną pogodę).

wieści gminne

SZUMOWO. W co drugiej wsi działają rady sołeckie — podstawowy organ samorządowy. Uprawnione są one m.in. do zatwierdzania planu przestrzennego zagospodarowania wsi, opiniiu lokalizację zakładów uciążliwych dla otoczenia, wybierają sołtysa.

« Brak pasz sprawia, że w przyszłym roku spodziewany jest niewielki, sięgający jedynie 1,5 proc. wzrost produkcji rolnej. Zakłada się powiększenie stada trzody chlewnej, liczącego 10 tys. sztuk, o 16 proc., niezbędny będzie jednak wzrost produkcji pasz własnych. Dotychczas uprawy wysokobiałkowych odmian roślin były mało popularne. Spadł areal upraw kukurydzy, a rośliny strączkowe zasiano w ub.r. jedynie na 36 hektarach.

« W takiej sytuacji duże znaczenie ma popularyzacja wiedzy rolniczej. W gminnej olimpiadzie zwyciężył Zygmunt Bończyk z Pęcznawki, niestety, trudno nie zauważyć, że w gronie laureatów od kilku lat powtarzają się te same nazwiska. « Nie samą wiedzą i pracami w gospodarstwie żyje nowoczesny rolnik. Przygotowano już część materiałów do budowy kortu tenisowego. Zapaleńcy prawdopodobnie najwięk-szy problem będą mieli z zakupem siatki.

« Znana jest już stopa procentowa, która będzie obowiązywać przy korzystaniu z kredytów w bankach spółdzielczych. Pożyczki inwestycyjne na zakup ziemi i nieruchomości — nadal 5 proc., a na inne cele — wzrost z 6 do 8 proc.: o-brotowe na zakup np. krów, koni — podwyższone do 9 proc., natomiast nie zmieniają się warunki (5 proc.) kredytów na zakup loszek, rozplodników i jałówek, podobnie jak i oprocentowanie kredytów na budownictwo mieszkaniowe (3 proc.). Banki będą realizowały zasadę trudnego pieniądza. Na ich pomoc mogą liczyć ci, którzy wnoszą o-biekty gospodarcze angażując jednocześnie w duży stopniu własne pieniądze. Bez przeszkód będą o-trzymywali kredyty młodzi rolnicy. Utrzymana zostanie jednak zasada (wprowadzona w 1981 r.) niestosowania umorzeń spłat kredytów.

« Bonifikata przyczyniła się do opustoszenia magazynów nawozow-ych. Odczuwane są natomiast braki np. saletry, mocznika, saletrazaku. Nie ma też szans, by w najbliższych tygodniach producenci zrealizowali dostawy. Może wiosna nie nadejdzie zbyt wcześnie?

« Nie wszystkie nawozy są jednak popularne. Soli potasowej rolnicy nie kupiliby, gdyby bonifikata sięgała nawet 50 proc. Jednym ze składników nawozu jest ponoć piasek.

CZYŻEW. Brak śniegu i dość silne mrozy niewątpliwie wpłyną na tegoroczne plony. Plantatorzy obawiają się szczególnie o uprawy rzepaku.

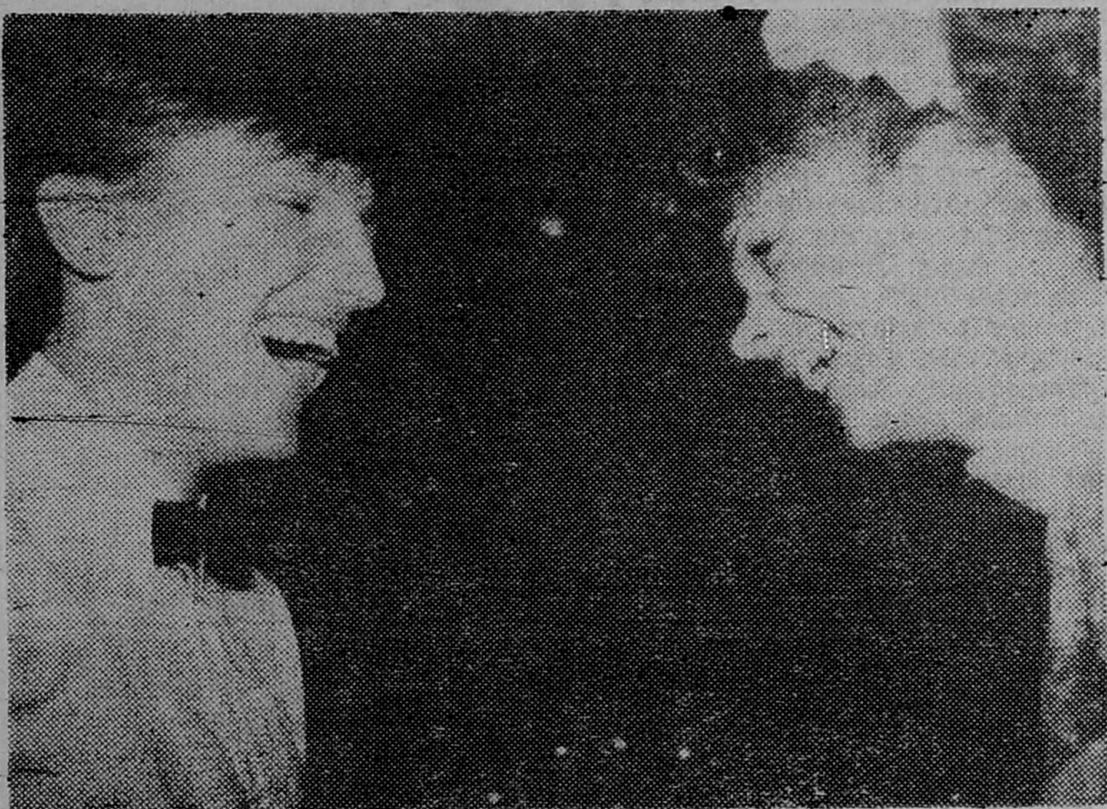
« Chociaż czyżewianie nie upominają się o prawa miejskie, osada coraz bardziej przypomina miasteczko. W rynku zlokalizowano zakłady usługowe (w gminie działa ich 90). Niektóre branże reprezentowa-

CIĄG DALSZY NA STR. 15





ZDJĘCIA
GABORA
LÖRINCZEGO



STUDNIÓWKÁ

Piszę ten list w obecności matki, których dzieci zostały bez opieki, a uszczęśliwiły do przedszkola przy ZSG w Piątnicy. Nie podpisujemy się tylko dlatego, że nasze starsze dzieci uczęszczają do szkoły w Piątnicy, a nasze podpisy mogą im zaszkodzić, bo przecież dyrektor ZSG w Piątnicy p. Cichowicz jest mężem dyrektorki przedszkola w Piątnicy. To co piszemy nie jest jednak anonimem, lecz prawdą i prosimy o jej sprawdzenie...

A oto opowiedziana w liście historia: dyktorstwo Cichowiczowie, których wydatki rodzinne przewyższyły pensję, postanowili „dorobić” sobie zlecając prywatnej brygadzie pracę przy rozbudowie przedszkola. Tymczasem autentyczny carski budynek, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, nie nadawał się już do przeróbki; 8 listopada runęła podkopana ściana. Chociaż sprawa wydawała się prokuratorska, winnych nie było. Przedszkolaki zostały bez opieki, rodziców pocieszono perspektywą budowy nowego przedszkola. Tymczasowo, w dawnym mieszkaniu nauczycielskim, zorganizowano zajęcia dla maluchów. Obiad w szkole, na śniadanie i podwieczorek własne kanapki; kucharka gotowała jedynie herbatę.

Codziennie o 6.45 matki, pędząc do „czerwoniaka”, zostawiały dzieci pod przedszkolem na mrozie, bo kucharka i niania zaczynały pracę o 9.00. Nie skarżyły się jednak, bo przecież wisiała nad nimi poważniejsza groźba — zamknięcie przedszkola. No i stało się: „Dzisiaj przyprowadzamy dzieci, a na drzwiach — od 21 XII przedszkole nieczynne aż do odwołania. Przerazeni, zdenerwowani, ale kto może walczyć z żoną Dyrektora? Jak długo tak może być? Czy przedszkole państwowe to własne podwórko? A żona dyrektora wpada na wspólny pomysł powiększenia obecnego przedszkola przez dołączenie do niego mieszkania nauczycielskiego. Ale fakt jest faktem, że nauczyciel dawny ze ZSG w Piątnicy mieszkania opuścić nie chce lub nie może. Więc przedszkole trzeba zamknąć. Kto nam zabezpieczy opiekę nad dziećmi nawet prowizoryczną?”

Obraz przemarzniętych dzieciaków, czekających kilka godzin na otwarcie przedszkola, przemawia do mojej wyobraźni. Nie mogę jednak pozbyć się nie najsympatyczniejszych myśli o rodzicach, którzy zamiast od razu i osobiście narobić rabanu w tak pilnej sprawie, przeznaczenie piszą anonimowy — choć dramatyczny — list.

Dochodzi siódma, kiedy przy malowniczej ruinie dawnego przedszkola zjawia się brygada remontowo-budowlana. Mężczyźni z wawo biorą się do roboty. — Dobrze się pracuje, pod dachem ciepło, ale do końca stycznia będzie skończone — wyjaśniają.

Pięć pokoiów, mała kuchnia, dwie łazieneczki... I to ma być przedszkole? Ze zdumieniem słucham zachwytów kucharki, Teodozji Kozikowskiej: — Dopiero teraz dzieciaczki będą miały dobrze: ciepłutko, czysto. I dla nas jaka wygoda, na miejscu woda ciepła i zimna, piwnica. Przez 18 lat ile ja się tych wiader nanosiłam! No, z wodą, z warzywami... Nawet okna tu mamy, a tam było duszno i ciemno; jak wychodziłam na słońce, aż się zataczałam!

Stare przedszkole, choć z zewnątrz przyjemne i wewnątrz schludne, nie było rajem ani dla dzieci, ani dla pracowników. Na powierzchni prawie 46 metrów kwadratowych mieściło się 50—60 przedszkolaków (norma przewiduje 2,40 metra kwadratowego na dziecko). Dzieci tłoczyły się głównie w dwóch salach: maluchy na dwunastu metrach kwadratowych, starszaki — na jedenastu. Pozostała powierzchnia to mini-szatnia z jedną umywalką, mini-jadłodajnia, kuchnia oraz ubikacja. Osobliwość tej ostatniej stanowił oryginalny system wentylacyjno-ogrzewczy: elektryczne „słoneczko”, zawieszane nad sedesem, ocieplało pomieszczenie, a świeże powietrze, wdzierające się przez spore szparę w ścianie, wietrzyło je.

Magazyn żywnościowy wykrojono z części korytarza; miał szerokość lodówki, długość — dwóch metrów.

Nic więc dziwnego, że od co najmniej dziesięciu lat trwały zabiegi piątniczanki o stworzenie maluchom lepszych warunków. Gdy spełżył na niczym próby przeniesienia przedszkola na teren Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt, zaczęły się starania o dobudowanie pięt na starych fundamentach. Ekspertyza wypadła pomyślnie, ale pieniędzy starczyło zaledwie na wykonanie instalacji wodnej. Nadzieje gwałtownie odżyły wraz z modernizacją i powiększeniem budynku Urzędu Gminnego, lecz równie szybko obumarły po rozmowach z naczelnikiem, Tadeuszem Gałązką.

Gdy latem 1983 roku pojawiła się możliwość dobudowania „w ramach remontów bieżących” pomieszczeń

gdy ściana w ubikacji została uszkodzona przy zakładaniu instalacji wodnej. Właśnie ona zaważyła się. Mimo to do 21 grudnia prowadziliśmy zajęcia dla maluchów w pomieszczeniu zastępczym. Potem proponowaliśmy wszystkim rodzicom miejsca w łomżyńskich przedszkolach, ale nie było chętnych na przenoszenie dzieci.

Faktycznie bowiem wszystkie one mają w Piątnicy lub Łomży jakiegoś babcię czy ciocię, które podjęły się krótkotrwałej opieki nad maluchami. Rodzice uznali to za lepsze rozwiązanie niż zmuszanie dzieci do zapoznawania się z nowym otoczeniem, co nie zawsze przecież przebiega „bezboleśnie”.

A jednak ktoś w imieniu „bezsilnych matek” błaga o pomoc i opiekę dla dzieci. Przewodnicząca Komitetu Rodziców

rupiecie... Tadeusza Orłowskiego. Wtedy zdecydował się je zabrać. Paj. dyrektor zwolnił go nawet z obowiązku doprowadzenia lokalu do przyzwoitego wyglądu. Remont zaczął się natychmiast. Rodzice odetchnęli, bo mieli już nadzieję, że niedługo w przedszkolu będzie ciepło, czysto, przestronnie. A w ogóle wszyscy cieszą się z tego, że tak właśnie się stało, bo gdyby ta rudera się nie zawaliła, na pewno znalazłyby się pieniądze na adaptację i budowę nowego przedszkola.

Dyrektor Helena Cichowicz również nie wierzy, by rodzice mogli maczać palce w pisanie anonimowych skarg: — To do nich niepodobne. Nigdy się na nic nie skarżyli, nigdzie nie pisali, raczej starali się pomóc. Razem przeprowadziliśmy m.in. batalię o dobre mięso i o zlikwidowanie pobliskiego śmiet-

ŚLADEM ANONIMU



gospodarczych, rodzice zadeklarowali natychmiast chęć pomocy przy modernizacji przedszkola i dobrowolnie wpłacali po 1000—3000 złotych na ten cel.

— Proszę mi wierzyć, nie mieliśmy zamiaru niczego burzyć — dyrektor Helena Cichowicz nie jest mistrzynią w maskowaniu zdenerwowania. — Decyzja o rozbudowie zapadła kolegiąlnie na spotkaniu z władzami gminnymi i przedstawicielem Kuratorium. — Z szuflady wędruje na stół komplet dokumentów; państwo Cichowiczowie trzymają je w gotowości, gdyż anonim otrzymała nie tylko redakcja. Sprawy zainteresowały się także Kuratorium i Komitet Wojewódzki PZPR. — Któż mógł przewidzieć, że fundamenty tego pocarskiego budynku, to zwykłe kamienie przesypane piachem i że środkowa ściana nośna opiera się na spróchniałych legarach? Wprawdzie nie robiliśmy specjalnej ekspertyzy, ale skoro parę lat wcześniej eksperci dopuszczali nawet dobudowę pięt... Oczywiście, dla bezpieczeństwa postanowiliśmy zamknąć przedszkole na czas kopania fundamentów,

skiego, Marta Biedrzycka, nie jest w stanie pomóc mi w rozwiązaniu tej zagadki.

— Nie słyszałam, by ktokolwiek z rodziców skarżył się (choćby po cichu) czy oburzał na dyrekcję. Denerwowało nas co innego. Dawne mieszkanie funkcyjne miało być adaptowane na tymczasowe przedszkole, ale na skutek zły woli jednego pana remont się opóźniał. Sprawa była delikatna i trudna. Pan Orłowski miał nakaz opuszczenia mieszkania, lecz nie przejmował się terminami. Dyrektorzy rozmawiali z nim kulturalnie, bo to jednak ich były kolega. Naczelnik też nie chciał z nim zadzierać. Wolał raczej prosić Senapida o przedłużenie zgody na pracę przedszkola w nieodpowiednich warunkach. Rodzice w końcu zdenerwowali się na dobre: „To ten pan ma własną willę w Łomży, a w Piątnicy potrzebuje państwowej rupieciarni?! Tymczasem nasze dzieci gniją w takiej ciasnocie!” Wystarczyło zobaczyć, jak one spały. Leżak przy leżaku, ani szparki na przejście. I to jeszcze nie wszystkie się zmieściły. Postanowiliśmy same wyrzucić

nika. Rodzice z własnej inicjatywy urządzili plac gier i zabaw. Nigdy nie było żadnych zadrażeń. Autorem anonimu jest zapewne jakaś zawistna, źle mi życząca osoba; nie podejrzewam jednak, by był to ktoś z rodziców.

Ja również mam podobne odczucia, szczególnie od momentu, gdy dowiaduję się, iż tylko dwoje przedszkolaków ma starsze rodzeństwo w szkole podstawowej, a tym samym jedyny powód zachowania incognito nadawcy listu („zemsta” na starszych dzieciach) okazuje się wątpliwy. Przykro mi też patrzeć na lzy w oczach niani, gdy komunikuję jej, że rodzice „opisali” ją w anonimie. Skądinąd wiem przecież, że nie tylko ona przepada za dziećmi, ale i one za nią.

Jeśli jednak autor (lub autorzy) listu zechcą mi dowiedzieć, że państwo Cichowiczowie i inni rozmówcy wywieźli mnie w pole, proszę o ujawnienie się, choćby nawet pod warunkiem pełnej anonimowości.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY



strony, prócz wnioskodawcy — rzę-
du, wypowiedziały się przeciw i
du, wypowiedziały się przeciw i
projekt upadł. Filozof Herbert Mar-
cuse, przywódca duchowej rebelii
studenci na Zachodzie w 1968
roku, w pasażach, czyli margine-
sie społecznym, upatrywał — obok
studentów — jedyną siłę zdolną do
rewolucji, gdyż klasa robotnicza zo-
stała przez burżuazję rozpuszczona
dobrobytem. U nas było już po re-
wolucji i obowiązywała chrześci-
jańska zasada, sformułowana przez
św. Augustyna: „Kto nie pracuje,
ten nie je”. Zasadę tę próbowano
przekuć w ustawę jeszcze dwukrot-
nie: w roku 1971 i 1977. Nic z te-
go nie wyszło, bo — jak zawsze —
swoje trzy grosze wetknęli uczeni.

Do projektu powrócono w 1982
roku — w okresie stanu wojenne-
go. Powołując się na „ślusne obu-
żenie ludzi pracy, których kosz-
tem żyją obiboki i darmozjadzy”,
żądano uchwalenia ustawy. W te-
lewizji cytowano wypowiedzi z hal
fabrycznych, z których niedwuznac-
nie wynikało, że to ci „spod kios-
ku z piwem” pogrążają kraj
w chaosie. Rozgoryczony ro-
botnik, któremu podsunęto mikro-
fon, powiedział: „Dlaczego ja mu-
szę tyrać, a ci, co noszą piach w
rękawach, lepiej żyją ode mnie?
Posłać ich do obozów pracy!” Od-
czytujemy to powtórnie: „Muszę ty-
rać”: a więc praca nie jest dla
nas zaszczytem, drogą do samorea-
lizacji, a smutnym obowiązkiem;
„Posłać ich do obozów pracy”, czyli
ukarać pracą.

W sukurs projektowi ustawy
przyszli organa ścigania. „Paso-
żytnictwo społeczne — pisał w „Po-
lityce” naczelnik Wydziału KG
MO, mjr mgr Edward Kurowski —
stanowi bazę, z której rekrutuje
się znaczny procent sprawców prze-
stępstw”. Nie wyjaśnił przy tym,
czy popełnione przestępstwa wyni-
kają automatycznie z faktu unika-
nia pracy, czy też oba te fakty ma-
ją głębszą przyczynę, tkwiącą w
systemie społecznym. Naczelnik za-
strzegł się przy tym, że „celem jej
(ustawy — przyp. A.J.S.) nie jest
i nie może być wprowadzenie pra-
cy przymusowej”.

Początkowo wydawało się, że
rozsadek weźmie górę i pro-
jekt, jak trzy poprzednie, nie
ujrzy światła dziennego. Rada Spo-
łeczno-Gospodarcza pod przewodnic-
twem prof. Jana Szczepańskiego
odrzucała go twierdząc, że nie roz-
wiązuje problemu zatrudnienia o-
sób uchylających się od pracy,
stworzy natomiast biurokratyzo-
waną, mało skuteczną machinę do
walki z pasożytnictwem. Przeciwno
ustawie wypowiedział się również
Instytut Państwa i Prawa PAN. W
popłoch wpadły także dyrekcje za-
kładów pracy. „Z badań przepro-
wadzonych przez Zespół Inspekcji
w Ministerstwie Pracy, Placy i
Spraw Socjalnych w 81 zakładach
— informowało „Życie Warszawy” —
wynika, że większość osób kiero-
wanych do pracy — podejmuje pracę
na bardzo krótko lub nie zgłasza
się w ogóle do zakładu [...] na ogół
przedsiębiorstwa uważają, że obec-
ność osób uchylających się od pra-
cy ma demoralizujący wpływ na
załogę. Są to bowiem alkoholicy i
narkomani, którzy powinni być
skierowani na leczenie

Również czołowi publicyści skry-
tykowali, punkt po punkcie, pro-
jekt. „Oto bowiem podważony zo-
stanie w poważny sposób — pisał
Maciej Kozłowski — cały system, na
którym opiera się nasz system
prawny [...] Jedną z podstaw tego
systemu jest zasada „nullum crimen
sine lege” czyli iż żaden czyn nie
będący w sposób jasny i jedno-
znaczny określony w ustawie jako
karalny nie może być powodem
stosowania jakichkolwiek represji
[...] zaprezentowany projekt gwałci
te zasady. Po pierwsze więc samo
niepracowanie nie jest uznane za
przestępstwo [...] lecz za takie uzna-
ne być może i może być dolegli-
wie karane w postaci wciągania do
różnych rejestrów, obowiązków mel-
dowania się, wreszcie do pracy
przymusowej. Przy czym uznanie,
kiedy niepracowanie jest przestęp-
stwem, a kiedy nie jest, określane
jest każdorazowo nie przez ustawę,
nie przez niezawisły sąd, lecz przez
organa administracji państwowej
stopnia podstawowego [...] według
absolutnie dowolnych kryteriów”.

Przeciwno ustawie wypowiedział
się podczas sesji Sejmu poseł Ka-

rol Malcużyński. Stwierdził m.in.:
„uchwalanie ustaw, które tylko
stwarzają pozory rozwiązania na-
brzmiałego problemu społecznego
bez sięgnięcia do jego źródła i bez
poszukiwania właściwych, pozaka-
ranych, środków zaradczych jest,
moim zdaniem, politycznie szkodli-
we a społecznie demagogiczne”.

Poseł zwrócił się wówczas, w oba-
wie, że ustawa może umożliwić do-

W poniedziałek pobrałem gustow-
ne wdianko i stanąłem przed obli-
czem kierownika. „Pan w okularach
— spojrzał na mnie — wygląda mi
na inteligentniejszego, dam pana do
biura”. „Szybki awans” — pomyśla-
łem w duchu. W biurze było ciep-
lutko, miałem spłać kilkadziesiąt
kart do wyplat. Przy okazji zoba-
czyłem, że płace niepasoszytów są
prawie na tym samym poziomie, co

jak zostałem pasożytem

konywanie tą drogą represji wo-
bec osób niewygodnych admini-
stracji, z propozycją, by rząd po
6 miesiącach przeprowadził bada-
nie nad trybem jej wdrożenia i jej
skutecznością.

Ustawę uchwalono. Machina ru-
szyła.

Jak przystało na zdyscyplino-
wanego pasożyta — zgłosiłem
się 20 stycznia 1984 r. w Wy-
dziale Zatrudnienia Urzędu Miasta
w Łomży. Wielu z wezwanych os-

nasze. Czynność spinania zajęła mi
10 minut. Następnie, by z nudów
nie wbić zębów w blat biurka, prze-
czytałem od deski do deski stary
numer gazety.

— Teraz to jeszcze porządnym
przysłał — wdałem się w pogaw-
ędkę z panią księgową — dwa la-
ta temu dali nam tych z FAZ-u.
To było straszne! Pijaństwa, roz-
róby...

Następnego dnia odbywał się targ
na Sikorskiego, a że trzech do



wiadcząło urzędnikowi, że to nie-
porozumienie, gdyż pracują pry-
watnie. Tym osobom urzędnik po-
lecił dostarczyć odpowiednie za-
świadczenie z Cechu Rzemiosł; część
powoływała się na zły stan zdro-
wia. Ja wziąłem skierowanie do
MPGKiM bez szemrania. Ze skie-
rowaniem stawiłem się w kadrach.
Stąd — po zainkasowaniu w lic-
nych pokojach tuzina podpisów i
pieczętek oraz otrzymaniu umowy
z zaszeregowaniem 20 złotych na
godzinę — wysłano mnie do „Polle-
ny”, jak pieszczotliwie zowią pra-
cownicy Zakładu Oczyszczania Mi-
asta. Przykazano mi przy tym su-
rowo stawić się do roboty już w
sobotę. „Zna pan konsekwencje?”
Ciarki przeszły mi po krzyżu. Na
szczęcie w sobotę magazyn ubra-
n roboczych był nieczynny, więc z
czystym sumieniem mogłem jeszcze
jeden dzień przepasożytować. Napo-
kany „towarzysz niedoli” pokrzepił
mnie na duchu. Był już w zakła-
dzie. „Robota ciebie szuka, nie ty
jej, wypić można, mój kolega za-
luje teraz, że załatwił sobie zwol-
nienie lekarskie”.

zbierania śmieci pod wiatą to sta-
nowczo za dużo, więc daliśmy z
ubraniami w długą. Przed fajran-
tem, na humorku, pojawiłem się w
zakładzie: „pasożyty” skreślały się
z nudów. Nie było roboty. Poczu-
łem się dotknięty do żywego. To nie
wszystko jedno, gdzie pasożytuję:
czy w pracy, czy w domu? Trze-
ciego dnia nie pojawiłem się w za-
kładzie. Do tej pory (minęły dwa
tygodnie) nikt mnie „za konse-
kwencje nie pociągnął”, mimo że te-
go samego dnia poszedł na mnie
meldunek do Wydziału Zatrudnie-
nia.

W Wydziale Zatrudnienia Urzędu
Wojewódzkiego pani inspektor ds.
osób uchylających się od pracy tłu-
maczy, że — w świetle prawa —
nie ma żadnych uchybień Ustawy
z 21 lipca 1983 r. o wychodzeniu
z kryzysu społeczno-gospodarczego
wraz z wcześniejszą, o uchylają-
cych się od pracy, upoważniała U-
rząd do wprowadzenia obowiązku
pracy. Czy była potrzebna? Przepi-
sy mówią: „Jeżeli występuje zagro-
żenie w prawidłowym funkcyjono-
waniu służb komunalnych i innych

mających istotne znaczenie dla za-
spokojenia podstawowych potrzeb
bytowych społeczeństwa”.

Tymczasem, jak na złość, śnieg
nie chciał padać. Za to sywały się
teleksy z Ministerstwa Pracy z po-
nagleniami: „Wprowadzić to w życie
ustawę”. Wprowadzić to wprowa-
dzić: Wojewódzka Rada Narodowa
w Łomży w dniu 17 XI 1983 r. pod-
jęła uchwałę nr XIX/77/83 w spra-
wie wprowadzenia obowiązku pra-
cy dla osób uchylających się, upo-
ważniając Wojewodę do podejmowa-
nia stosownych działań. Woje-
woda łomżyński w dniu 17 grud-
nia 1983 r. podpisał Zarządzenie nr
54 wprowadzając przymus pracy na
terenie Łomży i kilku sąsiednich
gmin: „W związku z wystąpieniem
zagrożenia w prawidłowym funkcyjono-
waniu służb komunalnych w za-
kresie: a) utrzymania czystości na
ulicach miasta, b) ochrony środo-
wiska naturalnego — ubytek ziele-
ni i drzewostanu w mieście”.

Śnieg, co prawda, spadł, ale za-
raz się stopił.

Wysłał mi 75 wezwań — in-
formuje kierownik Wydziału
Zatrudnienia Urzędu Miasta
w Łomży. — W sumie w ewidencji
mamy 215 osób, z tym że część
posiada zaświadczenia lekarskie.
Wezwaliśmy tylko te osoby, które
już uprzednio otrzymały od nas trzy
propozycje pracy w różnym czasie
i bądź nie przyjęły ich, bądź za-
raz pracę porzuciły.

W wyznaczonym dniu zgłosiło się
49 osób; 24 osoby skierowano do
pracy (w tym mnie), 16 osób zwol-
niono po pokazaniu zaświadczeń le-
karskich, 9 osób nie wyraziło zgo-
dy na pracę. Zgłaszający musieli
złożyć oświadczenie na temat źró-
deł utrzymania podczas ponad
trzech miesięcy pozostawiania bez
pracy (jakby fakt posiadania pie-
niędzy musiał automatycznie koja-
rzyć się z kradzieżą). Skierowania
były obligatoryjne, tzn. zakład pra-
cy, chciał czy nie, musiał przyjąć
tych ludzi pod groźbą kary grzyw-
ny od 10 do 20 tysięcy złotych. U-
wolnienie się od piętna „pasożyta”
następuje po przepracowaniu w
sposób ciągły 6 miesięcy.

— Mam też wątpliwości — mówi
kierownik Wydziału — wobec tej
ustawy. Np. dzisiaj jeden z wez-
wanych zrobił nam awanturę, że bie-
rzemy go za pasożyta, podczas gdy
on otrzymał urlop opiekuńczy na
dziecko. Mimo to sądzę, że w
warunkach łomżyńskich należało
przymus wprowadzić; nie w sensie
pomocy zakładom, ale jako strasak
dla tych, którzy nie pracują.

Podobną opinię wyraża pani in-
spektor w UW: — Nakłady prze-
wyższą efekty ekonomiczne, ale
nam chodzi o efekty wychowaw-
cze. Sugerowałam, żeby przynaj-
mniej na tydzień wprowadzić ich
na miasto do publicznego sprząta-
nia, ale dyrektor MPGKiM oświad-
czył, że nie ma takiej potrzeby.

Czy pracą można człowieka upo-
karzać? Wówczas — zamiast efektu
pozytywnego, wychowawczego —
pogłębilibyśmy tylko niechęć tych
ludzi do pracy, rozumianej jako ce-
lowe ponížanie.

— Kierownicy podnieśli wielki
krzyk, gdy ich zawiadomilem, że
muszą przyjąć „pasożytów” — mó-
wi dyrektor MPGKiM. — Brakuje
nam rzeczywicie ludzi w wielu za-
wodach, ale akurat nie tych, któ-
rych do nas skierowano, i nie w
tym czasie. W kwietniu sensownie
zatrudnię nawet sto osób do sprzą-
tania ulic; teraz nie mam dla nich
pracy. Kierownicy wymyślają więc
cokolwiek, żeby ich zająć

— Zgłosiło się do nas 15 osób —
dopowiada zastępca dyrektora. —
Nie wierzę, aby to oni byli rzeczy-
wistymi pasożytami. Prawdziwi pa-
sożyty zdołali sobie załatwić lewe
zwolnienie czy zaświadczenia

— Pasożyt? — dziwi się kierow-
nik Zakładów Gospodarki Komunal-
nej MPGKiM. — Przysłał mi jed-
nego człowieka, ale to nie pasożyt.
Uczciwie pracuje. Do zimy robił
„prywatki” po wsiach, a teraz siedzi
w domu, bo to nie sezon na mu-
rarke.

— Absolutnie w to nie wierze —
mówi kierownik Zakładu Oczysz-
czania Miasta, któremu przysłało
ośmiu ludzi — że zakład pracy wy-
chowa pasożyta. Mówi się że jak
nie pracuje, to kradnie. Pracuje i
też kradnie! Wsiakł mi rowy ze-
staw paliw i akumulatorów

DOKOŃCZENIE NA STR. 11

Fot. GABOR LORINCZY

Zupełnie inną formą dialogu na osi rząd—społeczeństwo są wybory — rama organizacyjna dla wyrażenia społecznego zaufania i akceptacji oraz krytyki i dezaprobaty w stosunku do centralnych i lokalnych ośrodków decyzji. Jest to zagadnienie tak skomplikowane, zwłaszcza u nas, że wymaga odrębnego potraktowania.

Madame Soleil a wybory

Wybory za pasem i w chwili, gdy piszę te słowa, nie można przesądzić, jaki będzie ostateczny kształt ordynacji wyborczej. Niemniej — wchodząc w skład Komitetu Badań i Prognoz PAN — nie widzę potrzeby telegraficznego konsultowania się z popularną wróżką paryską, znaną i u nas, Madame Soleil. Poza tym koszty! Nie wnioskując w szczególności, po zajęciu stanowiska przez kierownictwo PRON i Radę Społeczno-Gospodarczą Jana Szczepańskiego (por. prasa z 31 I br.) i po pewnych — jak mówią filmowcy — „dokrętkach”, będzie to krok naprzód ku demokratyzacji wyborów. W przeciwieństwie do poprzedniej ordynacji — o której w swoim czasie pisałem na łamach „Kontaktów”, że daje jedynie „możliwość głosowania”, ale nie wyboru („Wybory bez wyboru”) — nowa daje możliwość wyboru.

Ponieważ wspomniane wysokie rangi ciała polityczne traktują nową ordynację wyborczą jako rozwiązanie przejściowe, nie stoi na przeszkodzie, aby wysunąć postulaty na przyszłość.

Nie ma żadnej dyrektywy płynącej z nauki prawa konstytucyjnego bądź z praktyki politycznej, która by nakazywała, aby jedna ordynacja regulowała wybory do Sejmu i do rad narodowych. Jeżeli się z tym zgodzić i traktować ordynację wyborczą jako zespół norm przede wszystkim organizacyjnych — winny one być podporządkowane określonej strategii politycznej. Mogłaby ona polegać na tym, że wyborcy dysponowaliby większą swobodą wybierając do rad szczebla podstawowego aniżeli do rad wojewódzkich i Sejmu. Możliwa jest „depolityzacja” tych wyborów, bowiem odbywałyby się one nie pod znakiem problemów ogólnokrajowych, ale polityki lokalnej. Doktrynalnie zatem nie stałoby nic na przeszkodzie, aby w życie weszła odrębna ordynacja wyborcza. Gwarantowałyby ona nieskrępowane wysuwanie kandydatów przez różnorodne organizacje społeczne i grupy obywateli (odpowiednia ilość podpisów pod wnioskiem), a także wybory będące wynikiem starcia poglądów na rozwiązanie lokalnych zagadnień i ocenę walorów osobistych kandydatów. Trzeba koniecznie dać szersze możliwości inicjatywy merytorycznej i personalnej. Nie należy i nie wolno wiązać perspektyw systemu socjalistycznego z wyborem naczelnika gminy.

Natomiast wybory do rad wojewódzkich i Sejmu musiałyby być inaczej normowane. Społeczny instykt samozachowawczy — po doświadczeniach lat 1980—1982 — dyktuje wykluczenie takiej regulacji wyborów, których wynik zagrażałby stabilności politycznej, a nawet samemu systemowi lub, co więcej, układowi sił międzynarodowych. Ośrodki decyzji szerszego systemu, do którego Polska należy, nie mogłyby na to pozwolić. Natomiast przyjęcie tego założenia nie wyklucza wykorzystania rezerwy demokracji porządku wyborczego.

Następne zagadnienie, jakie wyłania się w naturalny sposób, to porządek wyborów w partiach politycznych i wszelkiego rodzaju organizacjach społecznych (gospodarczych, kulturalnych itp.). Oczywiście jest rzeczą, że nieuchronne ograniczenia przy wyborach do państwowych ciał przedstawicielskich szczebla średniego i najwyższego, podyktowane racją bezpieczeństwa państwa i racją bytu narodowego, nie mają żadnego zastosowania do wyborów we wspomnianych organizacjach. Trzeba więc utrwalić w PZPR (powinno temu sprzyjać niedługo konferencja Delegatów na kolejny Zjazd PZPR) normy i praktykę wyborczą poprzedzającą IX Nadzwyczajny Zjazd oraz zjazdy innych partii, zaś nie dopuścić do antydemokratycznej praktyki odgórnego „rekomendowania” przesłów organizacji społecznych i odpowiedniego montowania zarządów.

Do tej pory była mowa o rozwinieciu demokracji pośredniej, ale rozważania należy rozszerzyć na strefę demokracji bezpośredniej. Przygotowywany jest projekt ustawy o konsultacji w różnych formach społecznych. Jest to niesłuszne ograniczenie. Referendum o charakterze ustawodawczym przeprowadzone

wprowadzenie i funkcjonowanie całej gamy instytucji politycznych.

O zasadzie nadrzędności

Zagadnienie mechanizmów wyborczych ściśle się łączy z pozycją ciał przedstawicielskich zarówno w strukturze państwowej, jak i we wszystkich organizacjach politycznych i społecznych. Otóż powszechną i naczelną zasadą nie tylko w sensie normatywnym, ale i w codziennej praktyce winna być ich nadrzędność w stosunku do rządu i wszelkiego rodzaju egzekutyw, jakkolwiek nosiłoby nazwę. W Sejmie i w radach narodowych zasady tej

miast nie służy społeczeństwu, pozostawiając państwowym organom wykonawczym, z którymi obywateli na co dzień się styka, zbyt wielką swobodę decyzyjną, choćby np. „zasadę swobodnego uznania w administracji” (różnego rodzaju „widelki”); słowem kępuje obywatela, a nie przedstawiciela „władzy”. Nie wchodząc w słusność tak sumarycznej oceny, która wymagałaby wielokrotnie powtarzanych weryfikacji, trzeba powiedzieć, że ci, co tak sądzą, nie biorą pod uwagę swoich uprawnień, które jawnie należą do społecznych aktywów.

Jedną: prawo, rozumiane jako system informacyjno-decyzyjny glo-

STANISŁAW
EHRlich

HORYZONT POJEDNANIA (2)



choćby tylko z inicjatywy rządu lub (i) Sejmu miałyby wielkie znaczenie dla odblokowania nieufności społecznej. Owe różne systemy wyborcze miałyby bezpośredni wpływ na rozwój albo zanik nastawień społecznych. Systemy wyborcze bowiem pobudzają inicjatywę albo rodzą apatię. Jak powiedział jeden z kanadyjskich profesorów, nikt nie rodzi się z predyspozycją do apatii. Jest ona formą milczącego protestu przeciw odsunięciu od wpływu i udziału w życiu publicznym. Złe systemy wyborcze stanowią rodzaj manipulacji obojętnością, rodzą alienację: wyobcowują społeczeństwo z ustroju, w którym żyje, a jednocześnie izolują ośrodki decyzji. Szczególnie zaś groźna jest izolacja centralnego ośrodka decyzji politycznej.

Izolacja ta oraz poczucie powszechnej frustracji mogą nie tylko opóźnić reformę gospodarczą, ale i zagrazić prawidłowemu rozwojowi społecznemu, ponieważ sprzyjają one gromadzeniu materiału palnego społecznego rozczarowania, którego akumulacja może doprowadzić do nowego wybuchu.

Nie zapobiegają temu same mechanizmy wyborcze, konieczne jest

nie mogą podważyć decyzje partyjne, które zapadają poza tymi ciałami. Właściwy tok postępowania — to oddziaływanie na decyzje ciał przedstawicielskich przez członków partii politycznych, którzy w nich zasiadają.

Problem ten wypłynął z całą ostrością przy okazji nazbyt długotrwałej dyskusji nad projektem ustawy o radach narodowych. Przebiegała ona pod znakiem podwójnego nieporozumienia. Lansowano m. in. tezę przeciwstawiającą państwo socjalistyczne samorządowi. Otóż „chwyt” polegał na tym, że pod pojęciem „państwo” podstawiono milcząco państwowym aparat wykonawczy. Jeżeli zredukować pojęcie państwa do tego aparatu, to rzeczywiście między tym ostatnim a samorządem istnieje konflikt polegający na tym, że każdy samorząd — a tu mówimy o terytorialnym — musi oznaczać zmniejszenie zakresu decyzji państwowych organów wykonawczych, tj. ograniczenie ich władzy. Ale o to właśnie chodzi. Jeżeli jednak odrzucić tę prezentację filozofii państwa Hegla w sosie marksizmu-leninizmu i przez „państwo” rozumieć — jak od lat proponuję — globalną organizację społeczną, wówczas samorząd trzeba traktować jak integralną jego część. I taką jest też koncepcja rad — bez względu na przymiotniki, w jakie byłoby zaopatrzono — które nie powinny być niczym innym jak rozbudowanym samorządem o hierarchicznej strukturze.

Drugie nieporozumienie polegało — jeżeli wciąż jeszcze nie polega — na tym, że każde przesunięcie decyzji do niższego szczebla niektórzy nazywają decentralizacją. Tymczasem można o niej mówić tylko wtedy, gdy rozszerza się zakres decyzji niższych ogniw w sposób definitywny, a same one pochodzą z wyborów. Natomiast inne przesunięcia decyzji w ramach struktury wykonawczej trzeba kwalifikować jako dekoncentrację, która jest odwołalną, jak i sami, hierarchicznie podporządkowani, decydenci.

Wyjaśnienie tego podwójnego nieporozumienia nie jest podyktowane akademicką pedanterią. Biorąc jedynie pod uwagę możliwość ponownego zastosowania żonglerki pojęciami „państwo” i „samorząd” przy innej okazji, np. dyskusji na temat ordynacji wyborczej.

Kwestia tu poruszona ma podstawowy i generalny charakter, chodzi o maksymalne ograniczenie liczby decyzji, jakie zapadają w ośrodku centralnym. Jego siła i efektywność zależą od jakiejś decyzji, ich trafności, tzn. od podejmowania tylko tych właściwych dla centrum politycznego oraz od ich realizacji. Celowość organizacyjna oraz merytoryczna winna przesądzać o wyborze ogniw decyzyjnych.

Symetria prawa

Praktyka legislacyjna, okazjonalne wypowiedzi polityków wchodzących w skład centralnego ośrodka decyzji, a także zachowanie niektórych przedstawicieli organów wykonawczych w szerokiej kręgach społecznych wykształciły odczuć, że prawo funkcjonuje asymetrycznie. Jest instrumentem „władzy” dla trwania społeczeństwa w korbach, także instrumentem manipulowania. Nato-

balnej organizacji społeczeństwa, to jest państwa, nie może służyć tylko grupie, która stanowi ośrodek decyzji politycznej. Ale skoro prawo ma spełniać tę funkcję, jeżeli ma być głównym instrumentem organizowania procesów społecznych, musi reprezentować odpowiednią jakość, to znaczy akty normatywne nie powinny regulować materii, która do tego się nie nadaje. Klasyczne przykłady to ustawa o jakości oraz ustawa o pasożytach. Po które, dyrektywa bezwzględna powinna być niedopuszczanie do inflacji przepisów prawnych, gdyż przepisy niepotrzebne i nierealizowane nie tylko zakłócają obieg informacyjno-decyzyjny w państwie, ale anarchizują prawidłowy tok procesów społecznych, a ponadto podrywają autorytet ośrodka decyzji politycznej, który jest źródłem takiej chybionej, nieskutecznej regulacji normatywnej.

Ten stan rzeczy musi destabilizować porządek prawny i przeżywać praworządności, jakkolwiek by ją rozumieć. Przeczy jej również faktyczne stawianie pewnych grup decyzyjnych w ramach struktury politycznej ponad prawem. Obecnie stosunek społeczeństwa do prawa jest nieufny i chwiejny. Nastawienie takie nie może nie anarchizować procesów społecznych, co w pewnym zakresie przygotowało spektakularne wydarzenia lat 1980—1982.

Z perspektywy fundamentu

Szereg reform instytucjonalnych oraz aktów normatywnych w daleko idący sposób zmieniło kształt prawa w Polsce, otworzyło możliwości stopniowej demokratyzacji ustroju. Jednak te różnorodne ustawy oraz inne prawne akty normatywne, ponieważ były wydawane w różnym czasie i w różnych sytuacjach społeczno-politycznych często nie są ze sobą spójne; co jest mniejszym złem, ale gorzej, że społeczeństwo nie ośmiela się głębszego sensu, wewnętrznych między nimi powiązań, które mogą wytworzyć nowy kształt naszego ustroju, i nie dostrzega perspektywy, jaką w określonych warunkach otwierają. Wydaje mi się, że to tym bardziej konieczne, że ustrój polityczny trzeba traktować jako infrastrukturę organizacyjną procesów społecznych.

Trzeba jasno powiedzieć: praktyka przekształcania konstytucji na raty jest psychologicznie błędna. Anglicy modelowali swoją niepisana konstytucję wiekami, mieli czas, nie byli zagrożeni. Ale dzisiaj nikt nie może być demiurgiem czasu, a w Polsce wpływający czas wymaga, aby ośrodek decyzji politycznej trafił do wyobraźni narodu możliwie szybko.

Otóż fundamentalna debata w powołanej specjalnie Komisji Konstytucyjnej, i poza jej ramami, nad tekstem ustawy zasadniczej (tekstem, który uwzględniłby nie tylko stan prawny, ale przemiany społeczno-gospodarcze) mogłaby zneutralizować, a co najmniej pomóc w opanowaniu utrzymującej się apatii i otworzyć nowe perspektywy. Albowiem tylko nowe horyzonty pozwolą przezwyciężyć wzajemne rekryminacje i ułatwić narodowe pojednanie.

Rys. Marka Polańskiego

Wszystko to przez tych, co ustanowili przepisy, że nie wolno ich karać cielesnie. Przed wojną nauczyciel bił różgą, a dzisiaj mały szkrab wrzeszczy na mnie: „Jak mnie ruszysz, to skończysz za kratkami!” — i krzyżuje palce na oku. Mnie nauczycielka zamykała w komórce, jak nie odrobiłem lekcji, i tam, o głodzie, odrabiałem zadania — perorował przygodny dziadek.

— Dzisiaj trudno zostawić dzieci po lekcjach, bo brakuje pomieszczeń, poza tym względy humanitarne i prawne zabraniają znęcania się.

— Gdyby prawo zezwalało na bić dzieci, niejedno skończyłoby w szpitalu albo na cmentarzu.

— Ale w tyłek, panie, w tyłek. — Ja pracuję w magazynie gazu, tym nowym, pod miastem, przy pagórkach. Jak tylko robi się ciepło, pełno tam dzieci, które nie chodzą do szkoły. Koczują po dziurach i palą ogniska. „Jazda! — wrzeszczę. — Wynosić się z tym ogniem!” Gaz, wiadomo, ulatnia się i o eksplozję nie trudno. Wyzywają mnie wtedy od najgorszych. Takie małe, aż trudno uwierzyć! Ile nerwów mnie to kosztuje, tylko ja wiem — narzekają magazynierka.

— Zawiadania pani o tym kogoś?

— A kogo to obchodzi? Ja tutaj jestem od pilnowania.

— Iu was jest przy tym gazie?

— Trzy osoby na zmianę po dwa-nastu godzin. Same kobiety. Pilnujemy w pojedynkę.

— Nie boicie się? Butle z gazem są cenne jak złoto. Macie chociaż telefon, aby w razie napadu wołać o pomoc?

— Jest po drugiej stronie drogi, w nowej oczyszczalni ścieków. W nocy teren jest oświetlony i wszystko widać jak na dzień.

Czy tzw. problem młodzieży istnieje naprawdę? Jeżeli nawet nie, na pytanie o realność kłopotów z wychowaniem młodego pokolenia odpowiedź byłaby z pewnością twierdząca. Kto zasługuje na miano Piłata w sytuacji obustronnie (szkoła i rodzice) rzucanych oskarżeń i jakie są rzeczywiste skutki tego stanu? Czy można mówić o — przynajmniej w miarę — jednolitym systemie wartości proponowanym młodym, i czy jest on do przyjęcia? Komu przysługuje, a kto tylko uzurpuje sobie prawo pretendowania do roli autorytetu i jaka jest skuteczność tych starań? — Te i inne wątpliwości wyznaczają krąg tematyczny naszego nowego cyklu.

— Widać też osobę pilnującą, a więc łatwo o fortele.

Stróżówka jest dość prymitywnym pudełkiem, ustawionym w pobliżu zardzewiałego płotu. Okno posiada jedynie od strony placu, na którym stacjonują trzy samochody marki „Star”. Obite świeżą blachą wejście znajduje się z tyłu kontenera. Niezbyt wysoki płot nie jest uwieńczony drutem kolczastym — pokonać go można bez trudu. Jeśli osoba pilnująca nie zamknie za sobą drzwi na klucz, łatwo wtargnąć do środka i ją unieszkodliwić.

— Jak tam fortele. Teraz dzieciaki zjeżdżają z tych wzgórz na sankach i jest względny spokój. Najgorzej wiosną, latem, jesienią: latają kapać się nad rzekę i do kanału na łące, potem palą ognie.

Magazyn gazu usadowił się w dolince pomiędzy morenowymi fałdami. Może bezpiecznie byłoby mu gdzieś na wznesieniu, gdzie wiatry skutecznie rozpędzałyby sącący się z butli gaz, który tworzy śmiertelnie czapę? Może, ale przy silnych wiatrach, od pół powstałoby chyba większe zagrożenie.

— Nikt się nimi nie interesuje. Rodzicom w to graj, kiedy przychodzą o jedenastej do domu: w mieszkaniu spokój, nikt nie brudzi i nie hałasuje. Mogą wypocząć.

— A tam: wypocząć! Ojciec prze-ważnie pije, a matka albo też pi-je, albo się miota w bezsilności szukając wyjścia z trudnej sytuacji. Dziecko staje się przeszkodą, kiedy wymaga czasu i opieki. Ono to wyczuwa i żyje własnym życiem.

— Własne życie polega na tym, że łączy grupami po tej olszynie...

— Tej, która się znajduje koło nowego schroniska dla psów?

— Jak tam schronisko. Co było, powypuszczali. Przechowują w blaszakach padlinę. Dzieci łąza po tej olszynie jak otumanione, oswiatale jakieś. Pewnie się narkotyzują. Ciagle coś żują.

— Nigdy nie wiadomo, co łobuzom przyjdzie do głowy. Wystarczy popatrzeć na to, co oni wyprawiają z bezdomnymi psami. Kiedyś widziałam taką ruchomą pochodnię. Na szczęście teren mam ogrodzony

i psiak skonał na moich oczach za siatką.

— Nie tylko psami się zajmują. Widziałam, jak zaciągnęli krowę na łańcuchu do kanału i próbowali nauczyć ją pływać. Wielka i ciężka była, więc się łobuzy napracowały, ale ją przecież wciągnęły.

— Kiedyś zauważyłam, jak odbierali małuchowi pieniądze, które dostał zapewne od rodziców na drugie śniadanie. Zareagowałam, ale już więcej chyba tego nie uczynię. Wyzwali mnie tak, że sama siebie nie poznałam: zamiast krwi, łzy mnie zalały.

— Mnie dwóch takich zapytałów. drapnęło rometa spod płotu. Ja sobie śpię w rowie, bo za dużo wypilem, a oni cap maszynę! Złapali ich, ale rometowi brakowało już pierwotnej świeżości. Zharmonizowali go na murze. Młodszy z płaczem tłumaczył, że bał się wydać starszego, bo ten go zbije. Starszy twierdził, że inicjatorem kradzieży był właśnie młodszy, ponieważ kiedy wracali z kąpieli w rzece, jego jedynym pragnieniem było rozpalenie ogniska, ogrzanie się i osuszenie, ale młodszy wymyślił suszenie się w czasie jazdy na motorku. (Nie wspominał nic o elektrycznej suszarce, którą drapnęli sąsiadce grubo wcześniej). Jak się ich zapytałam, dlaczego chodzą nad rzekę, odpowiedzieli: „Eeee, proszę pana, a co my mamy robić? Do domu kultury chodzą? Owszem, na dyskotekę tak albo na jakiś zespół. Na przykład «Rezerwat» był fajny: tak głośno grali, że nic nie było słychać. Ale poszaleć można było, wypocić nudo z siebie”. „Skąd ta nuda się bierze? Młody człowiek zawsze jest ciekawy świata”. „Jak jesteśmy ciekawi świata, to idziemy pokręcić się po sklepach przy głównej ulicy. Czasem nawet uda się

ściągnąć komuś torebkę z ramienia. Kiedy już mamy tego świata dość albo nas gonią, wiejemy w różne fajne miejsca”. „Rodzice was nie szukają?” „Jak szukają, to znaczy, że już jest niedobrze. Chowamy się im, chyba że podejdą blisko i uciekać nie wypada.”

— To prawda. Sama widziałam, jak taki rodzic ganiał po górkach za swoim dzieckiem. Najpierw mu obiecywał złote góry, a jak go dorwał, przeklinał jak cudze, więc dzieciaki rzadko pozwalają się po-

KTO WYCHOWUJE?

LESZEK CZYŻ

wolni Komancze



dejsię i zwykle dają nura na kilka dni w nieznaną. Jednego znaleźli w D. u jakiegoś gospodarza. Pieć dni spisał w oborze, a żywność, tym, co ukradł w obejściu.

— Syn mojej sąsiadki zgadał się z jakimś starszym. Potem złapali go aż w Olsztynie na kradzieży. Zaczęło mu się podróżować, a że nie miał na nią środków, to kradł.

— Co ich tak ciągnie w świat? Nie boją się nieznanych wielkich miast?

— A co oni mają w naszym miasteczku? Dzieci stale przybywa, ale tylko dzieci. Wszystko tu znają i nie widzą miejsca dla siebie.

Na pobliskim pagórku kilku malców robi sobie siedzenie z płaszczyka rozpaczającej dziewczynki. W pobliżu kręci się kilka bezdomnych psów — wierznych towarzyszy dzieci. W oddali mająca kontury zabudowań w olszynowych kępach. Jeden z psów skowytem przedrzeźnia dziewczynkę. Mój rozmówca macha ręką: — Dzisiaj spokój, nie ma na co patrzeć. Zima, panie, jeszcze chłodno. Wczoraj był u nas wychowawca Feliksa. Mówił, że od dwóch tygodni nie pojawił się w szkole. A przecież i ja, i moja żona, codziennie widzieliśmy, jak wnuczek zabierał torbę i wychodził z nią na lekcje. Gdyby syn żył, zrobiłby z tym porządek — dziadek płacze. Łzy oczyszczają nie tylko oczy. — Ja byłem w chlewie, jak nauczyciel wszedł do mieszkania. Pyta Feliksa, dlaczego nie chodzi do szkoły. Feliks mu na to: „Nie wiem”. Dalej pyta: „Może ci się coś złego przydarzyło? Zalał się psychicznie? Koledzy wpędzają cię w kompleksy?” A Feliks wygrzebuje się spod pierzyny, chociaż dochodzi już dziesiąta, nie patrzy mu w oczy, nie obiecuje poprawy, tylko naciąga dziurawe skarpety, zabiera łyżwy z pieca i... „nic nie wie”. W zeszłym roku jeszcze taki nie był; chyba go szkoła zepsuła albo ten wychowawca jest jakiś niewprawy. Gdyby go złaził raz i drugi, na pewno Feliks by się poprawił, a ja bym mu nic na to złego nie powiedział.

— A pan bije wnuka?

— Ja nie biję, ale mój sąsiad, jak tylko odnaleźli w Olsztynie tego chłopaka, tak go bił, że cała okolica słyszała. I teraz on się zmienił. Ojciec często zachodzi do szkoły i zbiera pochwały.

— Gdzie pracuje matka Feliksa?

— Teraz jest na targu, ale nigdzie nie pracuje i mogłaby go przypilnować, gdyby zechciała.

— Synowa powinna często sprawdzać, czy przebywa on w szkole. Jeśli go tam nie ma, wypadałoby dowiedzieć się, gdzie i z kim się zadaje.

— Niby żyje z renty po mężu, ale tak naprawdę to tylko stroi się i handluje, więc dla dzieci nie ma czasu.

Każde z waleśających się po wzgórzach dzieci posiada własną historię, o każdym dałoby się coś szczególnego powiedzieć, lecz wszystkie te krótkie biografie byłyby do siebie podobne. W momencie, kiedy zabraknie w domu opiekuna, dzieci prędko „usamodzielniają się” i chętnie łączą w — poszukujące na własną rękę szczęście — grupy.

— Kiedyś się zainteresowałam, dlaczego niektóre dzieci tak nie lubią szkoły. Myślałam, że gdyby programy nauczania dało się dostosować do możliwości uczniów, byłoby mniej kłopotów wychowawczych. Jeżeli dziecku każe się uczyć rzeczy, których nie może ono od razu zrozumieć, nie pokocha takiej wiedzy. Rodzice są przeważnie ludźmi zwyczajnymi, robotnikami, którzy przyszli ze wsi: jak mogą pomóc dziecku?

Murowany hangar skutecznie zabezpiecza setki butli z gazem. Stalowe drzwi zdobia klipsy kłodek. Wymalowane na murze kolorowe znaki informują, iż wewnątrz znajduje się substancja łatwopalna i wybuchowa. Uniesiony lekko ponad mury dach opiera się na stalowych prętach, które nie dopuszczając do wnętrza nieproszonych gości — tworzą jednocześnie przewiewny ażur. Tył hangaru znajdujący się w pobliżu płotu, zaopatrzony jest w niewielkie lufki usytuowane nisko nad ziemią.

Widać przez nie fragmenty czerwonych butli. Kto odważy się przysiąć, że któryś z obywateli przy letnich ogniskach Komanczów nie upragnie zrobić bladej twarzy bum-bum?

Fot. GABOR LORINCZY

szkoła - dom - wychowanie



kontakty

kontaktów

Zarząd Związku Ociemniałych Żołnierzy PRL zwraca się z uprzejmą prośbą o przyjęcie z pomocą finansową na cele statutowe działalności naszego Związku.

Związek nasz zrzesza najczęściej poszkodowanych inwalidów wojennych, żołnierzy Wojska Polskiego i Ruchu Oporu oraz powstańców. Jakkolwiek Państwo Ludowe przychodzi z pomocą ociemniałym żołnierzom w formie rent, ulg i specjalnych przywilejów, otacza naszą organizację i członków opieką i powszechnym szacunkiem, to jednak mamy przypadki, że znaczna część naszych członków obciążonych liczną rodziną nie zawsze ma zadowalające warunki życiowe. Wielu ociemniałych żołnierzy posiada ponadto dodatkowe kalectwo. W takich przypadkach nasza organizacja przychodzi swoim członkom z dodatkową pomocą. Ponadto Związek nasz przydziela niezbędne pomoce rzeczowe dla zrehabilitowania utraconego wzroku, ułatwiającego życie ociemniałym żołnierzom. Pomaga uczącym się, przyznaje zapomogi na pomoce szkolne oraz stypendia. Opieką otoczone są również wdowy i sieroty po zmarłych członkach. Związek nasz rozwija szeroką działalność społeczno-polityczną wśród społeczeństwa i młodzieży, prowadzi pracę kulturalno-oświatową wśród członków, organizuje prelekcje i odczyty.

Wyżej wspomniana działalność wymaga odpowiednich środków, dlatego też zwracamy się z uprzejmą prośbą o pomoc do całego społeczeństwa. Wyrażamy nadzieję, że nasz apel — podyktowany troską o przyjęcie z pomocą ludziom najbardziej poszkodowanym — zostanie przyjęty ze zrozumieniem.

Za okazaną pomoc składamy z góry serdeczne żołnierskie podziękowanie.

Dokładny adres naszego Związku i konto bankowe brzmi: Związek Ociemniałych Żołnierzy PRL, Oddział w Białymstoku, ul. Warszawska 44, PKO I Oddz. nr 5513—23445—132.

BOLESŁAW OWCZAREK
PREZES ODDZIAŁU ZOŻ PRL
W BIAŁYMSTOKU

★

Nasze miasto leży nad Narwią i na szlaku wodnym na Mazury. Mamy więc dogodne warunki do uprawiania sportów wodnych i rekreacji. Ale największą bolączką mieszkańców Łomży jest brak krytego basenu pływackiego. Dlatego też wychowujemy kłęk młodzież i dzieci. Organizowane w czasie ferii zimowych wyjazdy na basen do pobliskiej Ostrołki zaspokoili potrzeby tylko nielicznych chętnych.

W okresie letnim cała „działalność wodna” wcale nie wygląda lepiej. W Łomży brakuje wypożyczalni sprzętu wodnego, a kajaki, znajdujące się na terenie przysłani, nie nadają się do eksploatacji, gdyż po godzinnym pływaniu są pełne wody. Poza tym nie ma całych kamizelek ratunkowych.

Z chwilą spalania się starego klubu wodnego zamarty w naszym mieście dobre tradycje organizowania różnych wodnych imprez sportowych. Wówczas to zawiesiły swoją działalność sekcje pływackie, motorowodne, żaglowe. Na pewno i w tej chwili znalazłoby się sporo chętnych osób, które chciałyby rozwijać swoje umiejętności w wyżej wymienionych sekcjach, ale — ze względu na brak placówki — wszystko stoi nadal w martwym punkcie. Jedyne nasze osiągnięcia w sportach wodnych są zasługą Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego — myślę tu o kajakarstwie i wioślarstwie.

Uważam, że w związku ze zbliżającym się sezonem letnim, powinno powołać się Zarząd Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, który zajęłby się całokształtem „działalności wodnej” mieszkańców naszego miasta.

JAN DYNKOWSKI
ŁOMŻA

GRZEGORZ FLEJTER: — Podejmujemy temat niesłuchanie trudny, dotyczący istoty funkcjonowania partii, której przecież głównym powołaniem jest działalność za granicą, stale zjednywanie sprzymierzeńców dla realizacji założeń programowych, służebność wobec swojej klasy. Tymczasem partia w przekazie publicznym jawi się często jako zbiorowość bez przerwy obradująca i zajmująca się sobą. Tak bywa. Ale większość członków i organizacji partyjnych to autentyczny ruch, zmagający się z opornością realiów dnia codziennego, popychający nasze życie społeczne naprzód. Gdzie więc szukać przyczyn schorzenia, o którym wspominałem?

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Wydaje mi się, że leninowska zasada oparcia pracy partii o jej podstawowe ogniwa, czyli POP, nie jest jeszcze w pełni realizowana. Wiele organizacji partyjnych zwoluje zebrania, które kończą się niczym. Trudno wtedy zauważyć partię w środowisku, bo jej działanie jest nieskuteczne. Choć podejmuje problemy, którymi żyje załoga czy wieś, nie potrafi ich rozwiązać. Zamiast zmieniać rzeczywistość, przyłącza się do chóru narzekania. Na szczęście nie brak przykładów dużej zaradności w rozwiązywaniu spraw ludzi pracy. Niedawno analizowaliśmy realizację skarg i wniosków, które wpłynęły do instancji partyjnej w Wąsosz. Na 9 skarg 7 zostało załatwionych pozytywnie. Znamienne, że część z ich była przedmiotem analizy w POP. To dobry znak, że właśnie sprawa trafiła najpierw do organizacji podstawowej.

STANISŁAW ZAGORSKI: — W Komitecie załatwiono 7 skarg. I co dalej? Wpływają następne. Czy partia próbuje rozebrać te najbardziej skargorodne obszary społeczne? Przecież sekretarz nie może przez cały dzień tylko tym się zajmować.

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Skargi są dla nas sygnałem patologii w funkcjonowaniu instytucji czy urzędów. Szukamy więc ich przyczyn; członkowie PZPR domagają się wyciągnięcia wniosków służbowych i partyjnych w stosunku do winnych zaniedbań. Interweniować łatwiej — rozpoznawać trudniej, więc terenowe instancje partyjne nadal wyręczają kierownictwa przedsiębiorstw i administrację terenową w załatwianiu spraw ludzkich.

GRZEGORZ FLEJTER: — Zaczynamy zajmować się jakimś problemem, ciągniemy go sami, automatycznie tracimy możliwość kontroli.

KRYSTYNA GALIŃSKA: — To dobrze, że ludzie przychodzą do nas ze swoimi zmartwieniami. Niepokoje jednak fakt, że musimy działać jak pogotowie ratunkowe, czyli udzielać pomocy doraźnej: zastępować naczelnika, dyrektora SKR-u, prezesa GS-u...

STANISŁAW ZAGORSKI: — Mają zaufanie do instancji, ale nie mają zaufania do członków partii, którzy pracują w instytucjach powołanych do obsługi obywateli. Więc jaki stąd wniosek?

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Że zbyt słabe są w tych instytucjach POP. Ludzie zwykle idą do dyrektora, a prawie nigdy do sekretarza POP.

KRYSTYNA GALIŃSKA: — Sądzę, że to skutek działania kierownictw instytucji. Dyrektorzy przedsiębiorstw, szczególnie w małych miejscowościach, swoje stanowiska traktują jako przypisane im do końca życia, są zadufani w sobie, z dystansem podchodzą do zwykłych ludzi. W sprawach, w których sekretarz POP miałby coś do powiedzenia, decydują sami. Nie jest on proszony na zebrania, nie słyszy jego głosu w dyskusji, nie bierze udziału w podejmowaniu ważnych decyzji.

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Inaczej wygląda to w większych zakładach. POP liczą się tam, są widoczne; na przykład w Zakładach Płyt Wiórowych w Grajewie. Wszystkie problemy przedsiębiorstwa są omawiane i załatwiane przy współudziale i inspiracji zakładowej organizacji partyjnej. Nasz Rejonowy Ośrodek Pracy Partyjnej podpowiada instancjom partyjnym, jak pomagać słabszym POP w spożytkowaniu i realizacji wniosków z zebrania.

FRANCISZEK MACIEJEWSKI: — Fakt, że ludzie przychodzą do I sekretarza komitetu gminnego, a

Czy znajdzie się sposób na marazm i objętność? Jak partia ma zbierać i wspierać sprzymierzone siły zdolne przeciwstawić się złu?

Czemu by nie rozliczać za wygodnictwo i asekuranciwo? Gdzie szukać ludzi-drożdży? Kiedy w urzędach zaczęły czapkować chłopom?

Oto pytania, na które próbowaliśmy znaleźć odpowiedź w kolejnej redakcyjnej dyskusji pod hasłem „Partia w działaniu”. Udział w niej

wzięli: Krystyna Galińska, sekretarz KG PZPR w Wąsosz; Czesław

Kazimierski, kierownik Rejonowego Ośrodka Pracy Partyjnej w Gra-

jewie; Franciszek Maciejewski, I sekretarz KG PZPR w Małym Płoc-

ku; Grzegorz Flejter, kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KW

PZPR w Łomży. „Kontakty” reprezentowali: Gabriela Szczesna i Sta-

nisław Zagórski.



nie idą do POP, jest spuścizną partii przedsierniowej. Wtedy zarówno na wsi, jak i w zakładach POP nie miały tej rangi, jaką daje jej dzisiaj Statut partii. Oczywiście, zmienić sposób myślenia nie tak łatwo. Na zrozumienie istoty odnowy, oswajanie się z nią, potrzeba czasu.

GRZEGORZ FLEJTER: — Należeliśmy do tej samej partii w różnych okresach, mimo popełnionych przez nią błędów. Idea się nie zmieniła, a błędy były skutkiem jej niewłaściwego realizowania. Skoro zostaliśmy, to wierzymy, że uda nam się w końcu wcielić ją w życie. Ciągłe o coś się potykamy, z wieloma sprawami trzeba przebiegać się indywidualnie lub zespołowo. Przecież jest dużo. Przeciwnicy rzucają nam kłody pod nogi świadomie, z premedytacją. To fakty, ale prawda też jest, że często nie potrafimy porozumieć się sami z sobą.

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Zastanawiam się często, co ludzi przybliży, a co zniechęca do partii? Zniechęca pustosłowiem, brak skuteczności poczyni. Przybliży program który partia przyjęła na IX Zjeździe i konsekwentnie zmierza do jego realizacji. Mówimy, że przynależność do partii to nie przywilej, lecz zwiększone obowiązki. A mnie rolnicy-członkowie PZPR pytają: „Czy przy rozdziale maszyn i uznanie nie liczy się to, że jestem działaczem, radnym, i kosztem własnego gospodarstwa zajmuję się sprawami publicznymi?” Sam nie wiem, czy za tymi pytaniami nie kryją się jakieś racje.

GRZEGORZ FLEJTER: — Niestety, ciągle jeszcze pokutuje pogląd, że jak rolnik wstępuje do partii to kieruje nim prywatnie. W wielu przypadkach to bardzo krzywdzące opinie. Jestem członkiem POP w Gielczynie w gminie Trzcianna. Teren to szczególnie trudny politycznie i gospodarczo. Klimat lat osiemdziesiątych był tam taki sam, jak w całej Polsce. Członkowie partii żyli w poczuciu zagrożenia, nawet fizycznego. Razem z sekretarzami POP i KG pytalismy każdego rolnika, czy chce zostać



w partii. Chcieliśmy wiedzieć, na ilu możemy liczyć. Okazało się, że na wszystkich. W tym trudnym okresie byli z nami. Czyż nie był to najlepszy sprawdzian partyjności?

KRYSTYNA GALIŃSKA: — O takich trzeba pamiętać. Podobnie jak o tych wszystkich, którzy pracują społecznie. Przecież sam sekretarz w gminie nie robi nic bez pomocy społeczników.

GRZEGORZ FLEJTER: — To są ludzie, którzy tkwią w gaszcu życia. Znają nastroje wsi, oczekiwania mieszkańców i próbują je realizować. Walczą o drogi, autobus, sprawiedliwą klasyfikację mleka. Nie muszą pokazywać swojej legitymacji. I bez tego wszyscy wiedzą, że są członkami partii. Jak kto nie patrzyłby na ich przynależność, jeżeli robia coś dla ogólnego dobra, więc pójdzie za nimi, poprze ich inicjatywę.

FRANCISZEK MACIEJEWSKI: — W partyjnych organizacjach wiejskich możemy spotkać całą mozaikę postaw: od bierności (nie przychodzi na zebrania, ale legitymacji nie oddaje) po ogromne zaangażowanie. Gdy jedni chcieli przeczekać burzę, drudzy odważnie manifestowali swoją przynależność do PZPR. Dzięki ich działaniu wiele problemów wsi zostało rozwiązanych. Jakże kontrastuje ich sposób życia z urzędniczą obojętnością, oschłością, asekurantstwem i wygodnictwem. Dlatego instancje partyjne muszą wkraczać i (jak słyszeliśmy) wyręczać władze gminne lub kierownictwa samorządnych przedsiębiorstw, nawet mimo ich przekonania, że skoro mają trzy „S”, partia nie powinna się do nich wtrącać. Ale my wkraczamy z nakazu społecznego, upoważnieni skargami i utyskiwaniami. Najdramatyczniejszy przykład: skup tytoniu. Augustowska wytwórnia podpisała umowę kontraktacyjną z rolnikami i nie przyjmuje surowca. Każde czekanie chłopom do maja.

GRZEGORZ FLEJTER: — A więc początek konfliktu i tu partia musi wkraczać.

STANISŁAW ZAGORSKI: — Pytanie, jak? Czy telefonami i naciskiem z góry, czy też zainspirowaniem oddolnego protestu związku plantatorów. Pierwszy sposób miałby charakter administracyjny, drugi dodawałby ludziom siły, uspołeczniał ich.

FRANCISZEK MACIEJEWSKI: — Póki co związek plantatorów jest bezsilny.

KRYSTYNA GALIŃSKA: — Może nie tyle bezsilny, co niezorientowany w swoich prawach.

STANISŁAW ZAGORSKI: — No właśnie. Obowiązkiem partii jest wpajanie ludziom umiejętności korzystania z uprawnień, jakie daje im państwo ludowe.

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Świadomości siły brakuje również niektórym POP. Są nieśmiały, nawet w sytuacjach, kiedy potrzebny jest ostry protest. Interwencje po-

dejmuje najczęściej sekretarz. Jeżeli on spasuje, spasuje cała POP.

STANISŁAW ZAGORSKI: — A przecież siła partii w zespołowości, umiejętności zbierania i wzniesienia sprzymierzonych sił, zdolnych przeciwstawić się złu.

FRANCISZEK MACIEJEWSKI: — Jest to piekielnie skomplikowane, szczególnie w gminie. W wielu sprawach częstokroć mocno waga powiązania personalne, tzw. układy. I leż trzeba uporu i odwagi, aby się przez nie przebić, spowodować zmianę.

GABRIELA SZCZESNA: — „Układy” są charakterystyczne dla każdej zbiorowości ludzkiej, a szczególnie dla małej społeczności lokalnej. Mówi się: „Na układy nie ma rady”, ale czy rzeczywiście? Myślę, że najskuteczniejszym lekarstwem jest kontrola społeczna, którą właśnie partia powinna organizować, tworzyć coś w rodzaju wszechwładnej, bo zbiorowej grupy nacisku.

STANISŁAW ZAGORSKI: — Myślę, że popełniamy podstawowy błąd: zapominamy, że mamy przewodzić, inspirować, organizować ludzi, a nie występować w roli jęczącego wielbłąda wędrującego samotnie przez pustynię. To, co wydaje nam się naszą zaletą i poświeceniem, w rzeczywistości okazuje się fatalne w skutkach.

GABRIELA SZCZESNA: — W takiej sytuacji nie ma miejsca dla samorodnych społeczników. Przed 18 laty we wsi Dębniaki w gminie Rutki rolnicy rozpoczęli budowę szkoły w czynie społecznym. Z jakich przyczyn nie została dokończona. Budynek niszczeje. W gminie ciągle się mówiło: „Nie damy rady dokończyć, co z tym robić dalej?” I nagle pojawił się jeden młody człowiek. Kazimierz Bagiński, członek ZMW z Zambrowa, który zwyczajnie wziął się do roboty. Chodził, jeździł, molestował, trafił nawet do ministra. I sprawa ruszyła. Okazało się, że to, co niemożliwe, jest możliwe. W niedoszłej szkole będzie dom spokojnej starości dla rolników. Piękna, humanitarna postawa, która w pierwszej fazie nie znalazła zrozumienia w administracji. Nie potrafił jej nawet docenić Związek Młodzieży Wiejskiej, którego Bagiński jest autentycznym działaczem.

GRZEGORZ FLEJTER: — To ludzie-drożdże. Prawdziwy skarb. Przez nich możemy znaleźć sposób na marazm i obojętność. Istnienie takich ludzi świadczy o tym, że nie jesteśmy sami, ponieważ w społeczeństwie tkwi gotowość do altruistycznych czynów.

GABRIELA SZCZESNA: — Ta gotowość jest głęboko ukryta, często nawet nieuświadomiona. Każdy człowiek odczuwa potrzebę sprawdzenia się, bycia użytecznym społecznie. Partia powinna ją wesprzeć i rozwijać.

STANISŁAW ZAGORSKI: — Marzy mi się w partii coś takiego: nieocenianie ludzi po funkcjach.

Nie funkcja powinna decydować o znaczeniu człowieka w społeczeństwie. Musimy wrócić stosować w partii metodę rozliczania jej członków za to, czego nie zrobili, choć mogli zrobić, czyli z bierności, asekurantstwa wygodnictwa.

CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Niektóre działania są niewymierne. Nie dopracowaliśmy się jeszcze dobrych, jasnych propozycji zadań partyjnych. Na przykład: co to znaczy „podnieść świadomość członków partii”? Wszystkie zadania przydzielane indywidualnie powinny mieć na względzie potrzeby środowiska; powinny być formułowane tak, aby dało się je po jakimś czasie rozliczyć. Niewłaściwą metodą jest również przydzielanie zadań partyjnych na siłę. Proponowaliśmy następujące rozwiązania dla tych, którym nie starczyło tematów: niech zajmą się sprawami doraźnymi. Przecież życie nie stoi w miejscu. Albo niech lepiej nie otrzymują żadnych, jeśli mają działać pożytnie.

GRZEGORZ FLEJTER: — Polityka kadrowa, dostrzeganie ludzi, to ciągle aktualny temat dla partii w działaniu. Padły przykłady dwóch skrajnych postaw: kolekcjonowania funkcji (co przysądza się do odznaczenia i medalu) oraz bezinteresownego robienia czegoś dla dobra innych. Powierzajmy funkcje tym drugim. Partia powinna tak samo cenić partyjnych, jak i bezpartyjnych społeczników. Tylko wtedy może być silna.

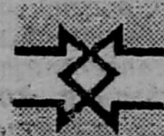
CZESŁAW KAZIMIERSKI: — Aby partia była skuteczniejsza w działaniu, musimy przełamać wciąż funkcjonującą barierę myślenia: „Ode mnie nie zależy”, „Co my zrobimy?”. „Co my możemy zrobić?” Przyjście takiej tezy-niemocy powoduje zwyczajną bierność, a jeśli ktoś jest bierny, tym samym nie ma wpływu nawet na własne sprawy. Czekanie na cud pogłębia marazm.

GRZEGORZ FLEJTER: — Wkrótce partia oceni, myślę o Krajowej Konferencji Delegatów, w którym miejscu jesteśmy, jak wykorzystujemy własne możliwości. Coś już się przełamało, coś naprawiło. Program IX Zjazdu nie pozostał na papierze. Każdy z nas, także bezpartyjni, najlepiej wie, jaki ma osobisty udział w jego realizacji. Cudów nigdzie już nie ogłaszają.

POST SCRIPTUM: do udziału w dyskusji zaprosiliśmy kilkunastu działaczy PZPR z województwa. Gościliśmy kilkoro. Jesteśmy przekonani, że tylko nawał pracy uniemożliwił pozostałym uczestnictwo w spotkaniu, którego temat wydawał nam się szczególnie istotny dla partii. Jeżeli rzeczywiście zależy im na sprawach poruszanych w dyskusji, nadesłali nam swoje refleksje. Czekamy również na spostrzeżenia i opinie Czytelników.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



KONTAKTY
26 II 1984

Odległy powiew wiosny przyniósł tym razem kierownictwu Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Na e” myśl, by tradycyjne porządki rozpocząć od wyprowadzania okien. Chwalebny zamiar natychmiast kupił młodzież zakładowego ZSMP; niestety, nie społecznie, ale za całę pięćdziesiąt tysięcy złotych. Na szczęście nadszedł czas oszczędności, więc suma ta słusznie wydata się dyrekcji niemata, w związku z czym zaczęła się rozglądać za innym reflektantem do ściereki. Wkrótce jej wzmocniony wysilek myślowy zaowocował propozycją kierownika wydziału tkalni, którego syn akurat edukuje się na magistra, by przedsięwzięcie powierzyć studentom. Importowane siły żakowskie podmyły, co się dało, zainkasowały ponad milion złotych... ich sprawa. Nasza: kto za miliony cierpi i znosi katusze?

Oto bilans sporu rodzinnego w Kostrach-Noskach: trzydzieści kilka spotkań w sali sądowej; pustka w pomieszczeniu gospodarczym (stodola 24x11 m, obora 20x6 m) jednej strony i konieczność wznoszenia nowych przez drugą; nieustanne kłótnie, pobytu w szpitalu i kolejne nekianie się sądem. Żadna ze stron — ojciec i syn — nie nadstawia po chrześcijańsku drugiego policzka, a mimo to puchną równo.

Na podstawie wstępnego sondażu w zakładach pracy i wśród indywidualnych brzydał sądzący, iż większość kobiet Łomżyńskiego otrzymała w prezencie z okazji swego marcowego święta zagraniczne majtki Made in Jugoslavia. Gdzie te czasy, gdy amant na zachciankę: „Krokodyla kup mi, luby” — bez drgnięcia oka — pytał: „Krokodyla? Tylko tyle?”

W odpowiedzi na szturchnięcie za pobieranie wygórowanej, naszym zdaniem, opłaty za założenie uszczelki w butli turystycznej, Komunalna Rozlewnia Gazu Płynnego „Korgaz 4” w Łomży nadesłała wyjaśnienie wraz z kalkulacją: „Kalkulacja ostateczna. 1. materiały bezpośrednie (cz. zamiennie) — 2,3; 2. narzut kosztów zaopatrzenia mater. 15 proc. od poz. 1 — 0,35; 3. robocizna bezpośrednia — 26,27; 4. koszty wydziałowe od poz. 3 — —; 5. specjalne koszty wytwarzania — —; 6. ...; 7. koszty wytwarzania poz. 1 do 6 — 28,95; 8. koszty administracji warsztatowej 66 proc. od poz. 3 — 19,11; 9. robocizna i usługi obce — —; 10. koszt wytwarzania poz. 7+8+9 — 48,06; 11. koszty administracji ogólnej 1,2 proc. od poz. 10 — 49,02; koszt własny — 97,08; zysk 10 proc. od poz. 12, poz. 1 — 7,38. Ogólny koszt 104 złote”. „Celem uniknięcia dalszego nieporozumienia — czytamy dalej — eliminujemy z rachunku koszty przedsięwzięcia o wartość uszczelki z zachowaniem wszystkich czynności wymienionych w kalkulacji jako zgodne z przepisami i dalszym bezpiecznym użytkowaniem butli po remoncie”. Tak więc, Czytelniku, masz w kieszeni (stownie) dwa złote trzydzieści trzy grosze! Niebawem będziesz mógł zupełnie za darmo otrzymać telewizor, samochód i mieszkanie, oczywiście, po uiszczeniu kosztów administracyjnych, warsztatowych i ogólnych oraz narzutu od zysku pozycji narzuconego podatku kosztów własnych wytworzonych wytwarzaniem. Szczegółowe warunki transakcji podamy po opłaceniu swego pobytu w Choroszczy.



lekroć zanoszą się na wydarzenie stulecia w naszej telewizji, mogą przyjmować zakłady, że już w południe zjawi się Rysiek z rodziną. W jego wsi elektrownia wcześniej gasi światła, żeby obywatele mogli wypocząć, a czasem zdarza się, że i wcale nie zapala. Tak było przed konferencją Jimmy'ego Cartera w Warszawie, koronacją Jana Pawła II w Watykanie oraz podpisaniem ugody w Gdańsku. Rysiek, rozparty w moim fotelu przed telewizorem, aż podskakuje, bo po pierwsze żaden sąsiad nie widzi tego, co on, po drugie wykpił się znowu elektryfikacją... W 1981 poradziłem mu, żeby pobudował prywatną siłownię; akurat zapaliło się przed takim zielonym światłem. Powiedziałem tak nie dlatego, że już się u mnie prawie zadomowił, tylko z dobrego serca: po co chłopina ma się wieczną tuc autobusami i zaniedbywać gospodarstwo, nierzadko przez dwa-trzy dni z rzędu. Nie obraził się. Pomilił chwilę, jak to on, po czym odparł spokojnie, że najpierw musiałby wykryć rzekę w pobliżu chaty, a że żaden radiesteta nie podejmuje się z dobrej woli, chyba że drugi Mojżesz. Przyjeżdżał jednak rzadziej, przeważnie sam, a przez ostatnie dwa lata nie pokazał się ani razu, aż byłem, szczerze mówiąc, zaniepokojony.

Zjawił się w końcu stycznia przed „The Day After”.

— Nie myślałem — mówię do niego półzartem — że przed atomową Apokalipsą będziesz uciekał do miasta. Twoje Krzemianki na uboczu, odgródzone mokradłami od świata — wymarzone miejsce, by przetrwać.

A on poważnie: — Nigdzie nie jesteśmy dosyć bezpieczni. Niech przynajmniej wiem z dziećmi, co nas czeka. Przez dwa miesiące

od wyświetlenia tego filmu w Ameryce nastuchałem się o nim i naczytałem różności, nie mogłem więc ryzykować: wyłączyć — nie wyłączyć?

— Ależ bardzo proszę — wprowadziłem Ryśka z trójką niedorostków do paradnego pokoju, wytarłem z kurzu telewizor, mało ostatecznie używany. Kuzyn, żeby podtrzymać rozmowę, pochwalił naszą telewizję za refleks; nie bacząc na brak dolarów i ogólne kiepskie stosunki z Amerykanami kupił choć raz głośny film, zanim przebrzmiał. Zgodziłem się, że to niebawem, bojąc się w duchu, iż rozmowa ześlizgnie się za moment na byłego prezesa Radiokomitetu, który dwa tygodnie wcześniej został skazany na osiem lat, ale przynajmniej program filmowy za jego rządów był ciekawy. Przyszli na szczęście znajomi, on wystraszony, ona w nowym futerku, którego nie chciała zdjąć, choć kaloryfery — sam sprawdziłem — jeszcze grzały. Zajął sąsiad z góry, że niby w stadiu rażniej, ale kto go tam wie, może chciał wywieść się, czy kuzyn nie przytaszczył czasem rakbanki do odsprzedaży. Poprosiłem, żeby usiadł. Razem z dziećmi zrobiło się kilkanaście osób, ciemno od papierosów, a nikt — jak przed seansem spirytystycznym. Nikt do końca nie wierzy, ale mówki maszerują po plecach.

— Sądny wieczór — powtarza w kółko znajomy, a ręce mu latają coraz bardziej. Zna poci się, aż żal patrzeć, Rysiek uspokaja swoich maślaków grożąc, że nie pozwoli im oglądać, ja zaś, jak to gospodarz, szykuje kanapki i zachodzę w głowę, jak rozlokować gości po seansie. Przez dwa lata zdążyłem odwyknąć, fakt, co gorsza łóżko połowe podarowałem koleżance ze studiów, która przed pół rokiem dostała przydział mieszkaniowy. Nie

JAN KWASOWSKI

THE DAY AFTER

ŻYCIE TOWARZYSKIE

ma wyjścia, będę musiał zsunąć fotele.

Po dwudziestej pierwszej zaczęło się. Pogawędki łóżkowe, córka jednych państwa nie wraca na noc, do tego studenci grają w piłkę, zdaje się — w rugby. Po pół godzinie startują Minutemany. Zna znajomego zastania sobie oczy i rzeczywiście, trzask-prask, walą się domy, płonie las, niktą w mgnieniu oka ludzie. Dalej, do końca filmu — dogorywanie tych, co przetrwali atak.

Pierwsze zniecierpliwiły się dzieci. Nie takie rzeczy pokazywał im

redaktor Wołoszański, przez jesień i pół zimy w programie rozbrojeniowych. Bardzo możliwe, że „The Day After” to był wstrząs dla Amerykanów, żyjących trochę jak na Księżycu.

— Kolejki porządnej nie umię zrobić, nie mówiąc już o panice — wyraził dezaprobatę znajomy, obierając żonę pot chusteczką.

— Ale co się stało, przecież umię ją kręcić? — nie może się nadziwić sąsiad z góry. — Ten reżyser sprawia wrażenie, jakby w życiu nie widział dreszczowca. Nie mówię o takich, jak „Płonący żółwiec” czy „Trzęsienie ziemi”, to prawdziwa sztuka, ale o zwykłym bodaj King-Kongu. Żadnego dozowania emocji, żadnej dramaturgii. Co tu ma wstrząsnąć, kłóć tricków? Samo dopuszczenie myśli, że Kansas City jest zniszczalne, może szokować jego mieszkańców, zwłaszcza jeśli nie przyszło im nigdy do głowy, ale mnie — przprasdam bardzo!

Kuzyn Rysiek nie wdawał się w dyskusję. Trwał dzielnie oko w oko z telewizorem, zauważyłem jednak, że i on chyba żałuje, iż tak kompromisyjnie opuścił swoje jadalnię maciore, na dodatek, z powodu elektrowni — w chłodzie i ciemnościach. Traciłem go lekko w ramieniu — No jak, bierze?

— Pokazywali nam to w zeszłym roku na szkoleniu z obrony cywilnej, tylko bez wstawek rodzinnych. I lepiej było widzieć, bo w remisie duży ekran.

Jeszcze przed końcową sceną brania się na gruzach wyszli znajomi, aby złapać tańszą taksówkę. Sąsiad może i chciał podyskutować bo to urodzony gaduła, ale Ryśko po paru kwestiach sklepił się po wieki. I dobrze, nie przespał na jutro pierwszego autobusu do Krzemianek.

LISTY ZZA RZEKI

Napisałem kiedyś o pewnej książce, że robi na mnie wrażenie mądrzejszej od autora, co ów przyjął jako wyjątkową złośliwość i skreślił mnie z listy swoich znajomych. Całkiem przypadkowo więc wykryłem, że utożsamiam się twórcy ze swoim dziełem: zbierać może rozmiary i formy ciałem nieracjonalne. Otóż zamiast cieszyć się z tego, że zbiór jego pomysłów, myśli i nawyków językowych nazywany utworem literackim osiągnął poziom ponadjednostkowy, a w domyśle ponadczasowy (co chciałem pośrednio wyrazić), człowiek ten pomyślał zapewne, że uważam go za głupszego od tego, co

pisze, czyli w domyśle — siebie muszę uważać za mądrzejszego nie tylko od jego dzieła, ale i od niego samego. Ot i mamy przyjemności,

z powodu drzwi

a raczej nieprzyjemności, z powodu nieprecyzyjnego wyrażania się.

No, dobrze, ale czy wiele sytuacji, zdarzeń, zjawisk (że o ludziach nie wspomnę, choć tu częściej stosuje się epitetów zamiast omówienia lub metafory), poddaje się jednoznacznej interpretacji precyzyjnego opisu? Bardzo niewiele, zatrważająco mało, jeśli przypomnimy sobie na przykład krytykę języka (a więc myślenia), jakiej dokonali pozytywści wiedeńscy (było to w niedawnych czasach, kiedy wielu z nas znało smak szyncl po wiedeńsku, wiedeńskiego śniadania, lubiło słuchać wiedeńskich walców, dobrych wiadomości z rozbrojeniowej konferencji wiedeńskiej — przy czym jedno drugiemu nie przeszkadzało) przyznając prawdziwość nielicznym wyrażeniom.

Czyż więc autorowi owej książki, na której temat sformułowałem sąd niefortunnie mało precyzyjny, miałem przedwzrostić przykłady „głupoty” innych autorów wobec „przemądrzałości” ich dzieł, że przywołać dwa skrajne przykłady: „Hamleta” granego w latach pięćdziesiątych na modłę egzystencjalistyczną, w czarnych golfach, z kompleksem Edypa — i „Balladyny” wystawionej przed dziesięć laty z użyciem motocykli marki „Honda”. Obie te realizacje łamały co prawda anon, ale dzieł nie niszczyły, może nawet wzbogacały obszary ich artystycznego oddziaływania. Nie sądzę, aby taka argumentacja znalazła zrozumienie u mego adwersarza. Co najwyżej wzbudzałyby fałę niepotrzebnej retoryki.

Analizuję ten przypadek sprzed lat szukając określeń, choćby najbardziej potocznych dla tego, co nas, przepraszam — tu muszę być su-

bietywny, co mnie otacza. Przecież nazwanie jest ważnym krokiem poznania. Zajmując się od kilkadziesiąt lat tłumaczeniem myśli na słowa, nie posiadam naiwnego przeświadczenia, że właśnie moim danym będzie znaleźć nowe słowa, nowe zdanie dla określenia tych zdarzeń, w których debiutujemy, bądź przeżyć, które rodzą się przy nas albo w nas. W tym niepewnym ze względu na rezultaty zajęć nieoczekiwane pomocne okazały się najbardziej — zdawać by się mogło — wyswiechtane sady obiegowe przysłówia. Tak, tak, i używam ich jak wszelkich postaci kanonicznych, bowiem jestem przekonany, że o zwierciadła się w nich, czy jak kto woli — zawiera, jakaś cecha rzeczywiście.

Choćby, na przykład kwestia naszego śmierci. Nie indywidualnej, lecz globalnej, choć pewien niejednoznaczny pod wieloma względami niemiecki pisarz mówił, że — kiedy umiera w samotności, ale było to przed Auschwitzem i Hiroszimą, czy wobec jej bliskości ma sens powiedzenie: *tisze budiesz, dalek jediesz*. Nie ma sensu. A jego zaprzeczenie, obojętnie negujące cokolwiek czy długość drogi, nabiera sensu, staje się nowym kanonem naszej rzeczywistości.

Nie wszystkie jednak nowe fakty dają się ująć przy pomocy obróbków pomysłów czy powiedzeń. Rząd, czy szerzej — władza, stara się pracować „przy otwartej kurtynie”. A w telewizorze powtarzają „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami”. Nie trzęć źle żadnemu rządowi, ale mierzylby mi się serial ciekawsz. Nie uczyniło wiele dobrego pokazanie „The Day After”. Czy film ten jest prawdziwy — zapytajcie tych, co przeżyją. Poruszeniom naszej polskiej wyobraźni nie trzeba amerykańskich podniet.

No i tyle o nowych postaciach przysłów i powiedzeń. I obrazów, obrazków, bo te coraz częściej zastępują słowa. Tylko słowa, myśli bowiem zostają. Wyobrażam sobie, że już dziś jakiś poeta tworzy swój dzisiejszy wiersz kamerą na magnetycznej taśmie, a nie jak ja — zwykłym piórem, nazywanym kiedyś — wiecznym. Kiedyś było nawet wieczność, dziś nie jest pewne na jutro.

HENRYK GALA
Rys. Andrzeja Podulka



refleksje



DOKONCZENIE ZE STR. 5

Z wielkiej chmury mały deszcz. Tak można by skwitować akcję „Pasożyt”. „Temat został zrealizowany” — będzie można wysłać meldunek do Ministerstwa. Wiele z obiekcji zgłoszonych przed uchwaleniem ustawy potwierdziło się w praktyce. Ustawodawca sądził, że wydanie aktu prawnego uczyni problem społeczny za niebyły. Tak ustawa o jakości miała prawem kaduka zlikwidować załew bubli na rynku. Efekt? Duży procent towarów bądź w ogóle nie nadaje się do sprzedaży, bądź już w chwili kupna trafia do naprawy gwarancyjnej. Upatrywanie mocy sprawczej w zapisach przypomina leczenie lewatywą chorego na serce. Z niecierpliwością czekam: być może Sejm uchwali kolejną ustawę. Stawia się problem do góry nogami: wmawiając opinii publicznej, że alkoholizm, narkomania, przestępczość, nieletnich, prostytutka, spekulacja i wreszcie pasożytnictwo są głównymi przyczynami zła, gdy prawda jest taka, że są to wyłącznie skutki długotrwałego kryzysu moralnego. Tym, którzy twierdzą, że to pasożyty potęgują kryzys, dedykuję cytaty z „Polityki”: „Inwestycyjny spadek po ekipie Gierka — Jaroszewicz to dwadzieścia jeden i pół tysiąca rozbratanych inwestycji o wartości kosztorysowej 2 biliony 850 miliardów złotych”. Lwią część tej sumy trzeba było spisać na straty.

Nikt nie twierdzi, że problem pasożytnictwa nie istnieje. Należałoby jednak podjąć czynności likwidujące prawdziwe przyczyny pozostawiania wielu ludzi bez pracy. Takie autentyczne działania umożliwiają m.in. Fundusz Aktywizacji Zawodowej. Zgromadzone już na jego koncie miliardy złotych, a wydatki z tego konta stanowią niewielki procent tej sumy, rzędu milionów. Np. Wydział Zatrudnienia UM z tego funduszu sfinansuje kurs podwyższający kategorię prawa jazdy na I, gdyż tylko kierowcy z tą kategorią mogą otrzymać pracę. Jest to, niestety, skromny przykład, w jakim kierunku powinny iść działania administracji.

Działaniem pozytywnym byłoby tworzenie nowych miejsc pracy, nie zaś wciskanie na siłę ludzi tym zakładom, które akurat ich nie potrzebują. Najbardziej paradoksalne w tej historii jest to, że mamy do czynienia z ukrytym pasożytnictwem. Nie wiem, jaki jest procent etatów, ale podejrzewam, że spór, częściowo bądź całkowicie zbędnych. Znam z autopsji ludzi, których jedyną czynnością, jaką wykonują przez 8 godzin, jest rozwiązywanie krzyżówek. Znam też takich, którzy od lat nie pracują w żadnym państwowym zakładzie, a mimo to są niezwykle pożyteczni społeczeństwu. Sytuacja taka jest podwójnie demoralizująca.

Swoją drogą żałuję, że rzuciłem pracę w ZOM-ie. Dyrektor Wydziału Zatrudnienia UW zamierzał ściągnąć telewizję, by pochwalić się, jak dzięki administracji „pasożytów” przemieniono w ofiarnych ludzi pracy.

ADAM JERZY SOCHA

Organizacja zarządzania i kierowania.

Zarówno w Rzeszowskim, jak i w Przemyskim dyrektorów bibliotek miejsko-gminnych oraz kierowników bibliotek gminnych zatrudnia się — zgodnie z ustawą o bibliotekach — w ścisłym uzgodnieniu z WBP, a ci kompletują pozostały personel, za wiedzą i akceptacją naczelników oraz miejscowych komitetów partyjnych. O tym, że taki tryb sprzyja dobrej organizacji i sprężystości pracy, a także — jednolitej działalności bibliotek, nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

U nas jest inaczej; wbrew dotychczasowej ustawie z roku 1968 i przepisom wykonawczym, nie rozmawia się zwykle z WBP nawet z racji kurtuazyjnych, a kierownicy placówek terenowych (z nielicznymi wyjątkami, np. Kolno, Grajewo, Wysokie Mazowieckie, Zambrów) nie mają zwykłego wpływu na dalszy dobór kadry. Bywa i tak, że w wyniku rozgrywek grup różnych interesów, za ladę biblioteczną wchodzi „nasz człowiek”, a jako „nasz” — niewiele robi, ponieważ jest przeswiadczony, iż chroni go silny protektor, zaś szczytem jego posłannictwa na polu kultury ma być podawanie książek albo przyglądanie się, jak czytelnicy je sobie wybierają z półek.

Niekłarowna i dowolna polityka zatrudnieniowa w sieci bibliotecznej województwa nie zdaje społecznego egzaminu i winna możliwie szybko ulec zmianie zgodnej z intencją prawa.

Warunki lokalowe.

Biblioteki rzeszowskie i przemyskie posiadają własne budynki (w mieście nad Wisłokiem — po administracji państwowej, a w grodzie nad Sanem — w pożydowskiej synagodze). W województwie rzeszowskim biblioteki publiczne mają szesnastcie własnych budynków, natomiast w Przemyskim — cztery.

Jak do tego doszły? Przez niecierpliwą inwestycję i wiele adaptacji. W tej chwili prezydent Rzeszowa przekazuje WBP 5 (zrosniętych z sobą) kamienie w śródmieściu, które — po zakończeniu prac adaptacyjnych — zwiększą powierzchnię użytkową bibliotek miasta o 3000 metrów kwadratowych. Złożyły się na trzy fakty: gotowość WBP do podejmowania działań inwestycyjnych, gotowość władz do wychodzenia temu naprzeciw i gotowość społeczności lokalnych do udzielania pomocy w realizacji tych bardzo potrzebnych przedsięwzięć.

A jak to wygląda u nas? Sama WBP jest „komornicą” WDK, a swoje komórki ma porozmieszczane na terenie całej Łomży. W roku 1982, mimo ciężkiej sytuacji ekonomicznej, władze wojewódzkie przydzieliły środki na inwestycję mieszkaniową i biblioteczną. Współinwestorzy podpisali umowy i przy ul. 1 Maja ruszyła wspólna budowa. W roku 1983 utknęła m.in. na dwóch garażach, albo inaczej — na dwóch posiadaczach samochodów w tych garażach przetrzymywanych. Wszyscy ci, którzy taki stan rzeczy prawie przez rok podtrzymywali, czują się dziś niewinni jak nowo narodzone dzieci. Nie można im nie zadać pytań: jak długo jeszcze mieszkaniowa dla robotników i znacząca dla województwa inwestycja kultury będą w Łomży (i w socjalistycznych realiach społecznych) mniej pilne od takich dóbr, jak tani garaż? Jeden z właścicieli zapytany o to, czy aby cała sprawa nie kwalifikuje się do osądu opinii publicznej, poinformowanej za pośrednictwem prasy, odpowiedział, zadowolony ze swego konceptu: „Prasa nie jest władzą”. Zapomniał, że jest społecznym sumieniem.

W Łomżyńskim tylko biblioteka w Kolnie pracuje we własnym budynku. Był tam w swoim czasie sekretarz partii o nazwisku Łozowski, który w każdym kolejnym miejscu swojej pracy pozostawiał — wśród trwałych po sobie pamiątek — nową placówkę kultur. Kolnianie znali chwalebna słabość sekretarza, wykończyli budynek już po jego odejściu do innej miejscowości i dziś mają — wystawiającą i im dobre świadectwo — książnicę.

Cała reszta bibliotek publicznych Łomżyńskiego funkcjonuje na powierzchniach innych placówek kultury, a najwięcej z nich — w lokalach wynajmowanych od prywatnych właścicieli.

W drugiej połowie stycznia br. przebywała w Rzeszowie i Przemysku grupa pracowników bibliotek publicznych Łomżyńskiego. Zapoznała się ona z organizacją i funkcjonowaniem tamtejszych placówek bibliotecznych z myślą o przeniesieniu najbardziej korzystnych rozwiązań.

W ostatnim czasie rady narodowe, komitety partyjne i naczelnicy wielu miast i gmin udowadniają, że w atmosferze dobrej woli i zrozumienia można poprawiać warunki lokalowe bibliotek. Tak się myśli i działa w Grajewie, Rajgrodzie, Szczuczynie, Zambrowie, Ciechanowie, Radziłowie, Zarebach Kościelnych,

MAŁA PENETRACJA wielkiego obszaru kultury

Zawadach, Perlejewie, Piątnicy, gminie Łomża i w niektórych innych ośrodkach władzy terenowej. Nie można jednak milczeć o tym, że w Małym Płocku, który kilka lat temu przeżył ogólnopolską feję oświatową, biblioteka gminy egzystuje na powierzchni kilkunastu metrów, że podobna sytuacja jest w Miastkowie, a wręcz fatalne warunki lokalowe mają placówki w Burzynie, Woźnejwsi, Hodoszowie, Nieckowie, Pobikrach, Przybyszynie, Winnie Chrolach, Wyszokach Kościelnych, Skrodzie Wielkiej, Suralach, Kątach, Wnorach Starych i w wielu innych miejscowościach. Nie można też przemilczać tego, że w — niemałym — przeciwnie — Szepletowie kierownic-



ka biblioteki pracuje zimą w temperaturze paru stopni powyżej zera. Marzną również od wielu lat kilka bibliotekarek w Stawiskach. Z takich przykładów można by sporządzić dość długi rejestr.

A wręcz wola o pomstę do służbowych i politycznych przełożonych fakt, że niektóre urzędy gmin nie reagują nawet na kilkakrotne wystąpienia na piśmie w sprawie poprawy warunków pracy bibliotek. Takich faktów arogancji jest na szczęście mało, ale są one bardzo niebezpieczne, bo ich ofiarami padają ludzie (czytelnicy i bibliotekarze). Znośne warunki lokalowe bibliotek pozwalają im przyjmować godnie każdego czytelnika, stwarzają podstawę do prowadzenia pracy kulturalno-oświatowej, bez której nie ma rozsądnej mowy o działalności współczesnej księźnicy publicznej, i zapewniają zatrudnionym minimum warunków pracy.

Z każdą książką do wszystkich.

Głównym celem wyjazdu bibliotekarzy łomżyńskich do Rzeszowa było rozpoznanie techniki i organizacji centralnego zakupu i opracowania książek przez WBP. Otóż rzeszowska WBP kupuje i opracowuje

książki dla całego województwa oraz sama je rozprawdza w swojej sieci. Podobnie dzieje się w Gdańsku i Opolu. Okazuje się, że to rzecz dla odważnych (dyrekcja), pracowitych (zatrudnieni w odpowiednich komórkach organizacyjnych) i gotowych do służby społecznej (wszyscy). Co Rzeszowszczyzna przez taki system wygrywa? Bardzo dużo: żadnej biblioteki nie ominie pożądana nowość wydawnicza i każda książka — najpóźniej w miesiąc po zakupie — trafi do każdej Krajiny Wielkiej, po-

łożonej na obrzeżach województwa. Tak się praktycznie realizuje zadanie stworzenia obywatelom równych szans dostępności do dóbr kultury; bez gromkiego pohukiwania o wielkiej misji pracowników upowszechniania książki.

Łomża ten system przyjmie, choć przyjrzy się jeszcze podobnej organizacji drogi książki do czytelnika w Gdańsku i Opolu. Przygotowania potrwać dwa-trzy lata. Możliwości kadrowe już są, idzie teraz o romayor, dwa kserografy, dobry powielacz spirytusowy, dużo kartonu i o jedno pomieszczenie średniej wielkości, w którym znajdzie się stacja małej poligrafii.

Praca kulturalno-oświatowa.

I Rze-zów, i Przemysł są w tym względzie bardzo aktywne. WBP w Rzeszowie była głównym organizatorem międzynarodowego konkursu na ilustrację książkową pod nazwą „Przyjaźń i braterstwo dzieci i młodzieży różnych narodów” (pracami sypnęły głównie Polska, Związek Radziecki i Indie) oraz współorganizatorem konkursu literackiego na

przekład współczesnej poezji radzieckiej. Do trwałych tradycji tej instytucji weszły coroczny Tydzień Pisarzy Środowiska Rzeszowskiego (w mieście funkcjonuje oddział ZLP) oraz Rzeszowskie Spotkania z Literaturą Radziecką. To tylko kilka przykładów.

W Przemysku kontynuuje się godnie 230-letnie tradycje bibliotek publicznych na tym terenie. Tu działalność kulturalno-oświatową organizuje się i prowadzi w ścisłym współdziałaniu z Towarzystwami Literackim im. Mickiewicza, Przeglądem Nauk, Historycznym, Dramatycznym „Fredreum”, Kultury Teatralnej oraz z Kuratorium Oświaty i Wychowania. Godny odnotowania w dorobku WBP jest ogólnopolski konkurs małych form literackich.

Bibliotekarze łomżyńscy wiele się w Rzeszowie i Przemysku nauczyli. Mając wśród atutów miejsce w ścisłej czołówce kraju w ilości czytelników na 100 mieszkańców i razem w ilości wypożyczeń, a także w liczbie nowo zakupionych woluminów — nie mogą zostać w tyle, ale muszą mieć zapewnione podstawowe warunki do działalności.

JÓZEF PAŁKA

Fot. GABOR LÖRINCZY



w kręgu rocka

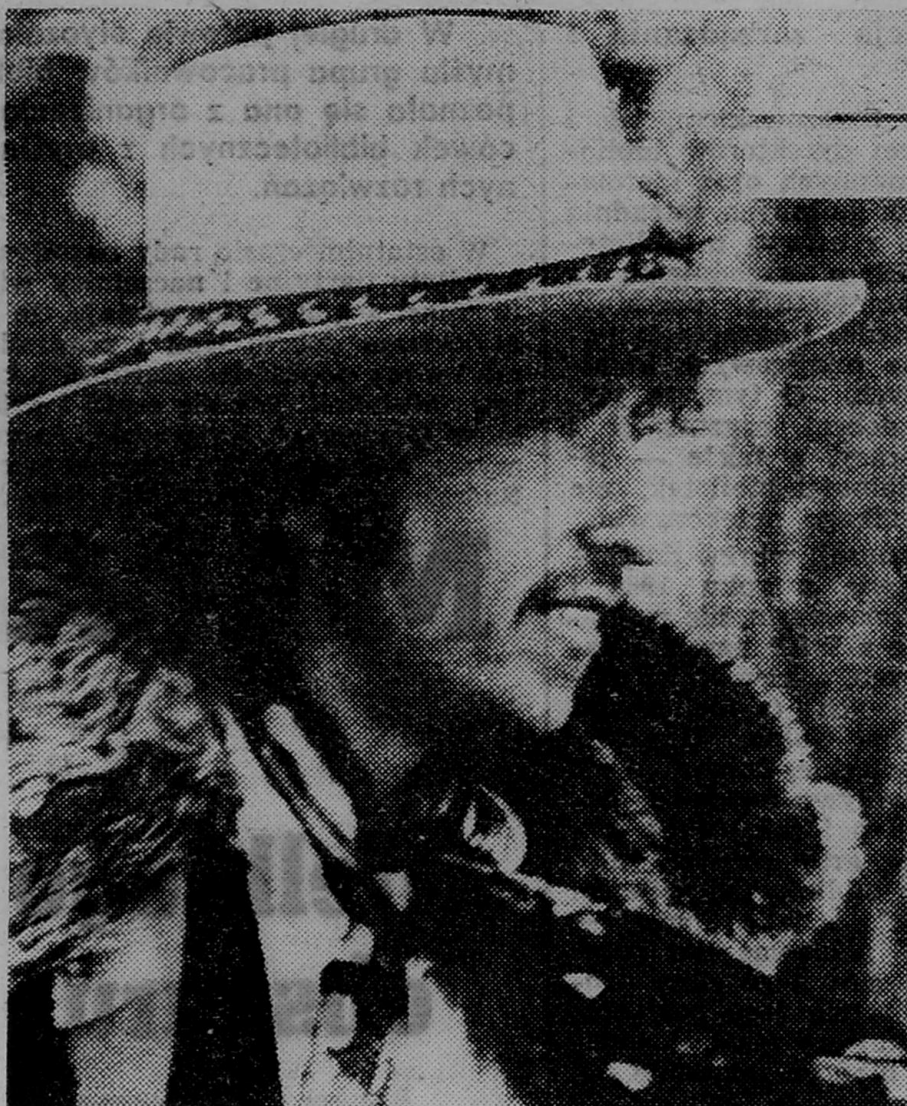
Paul McCartney lubi marihuane i wydaje się, że bez niej nie opuszcza domu. Niedawno 41-letni piosenkarz i jego żona Linda przebywając na Karaibach zostali poddani rewizji. W ich willi na Barbadosie policja znalazła nieznaczny ilość tego narkotyku. Po zapłaceniu 200 dolarów kary małżeństwo wróciło do Londynu. Historia powtórzyła się na lotnisku Heathrow, gdzie Linda została oskarżona o posiadanie środków odurzających, które znaleziono w jej bagażu.

Jest to już trzecia tego typu afery ex-Beatlesa, który w rozmowie z dziennikarzami powiedział: „Nie sądziłem, iż we własnym domu tego typu praktyki są zabronione”. Stwierdził też, że używanie marihuany nie powinno być przestępstwem.

Diana Ross marzy o wybudowaniu miasteczka zabaw dla dzieci z Nowego Jorku. Aby urzeczywistnić swoje plany gwiazda wystąpiła ze specjalnym koncertem w Central Parku. Nie przestraszyły jej potoki lejącej się z nieba wody i dokończyła swój recital, który oglądało blisko 400 tysięcy fanów. Mimo że dochody z koncertu wyniosły 1,6 miliona dolarów, suma ta nie wystarczyła na pokrycie kosztów miasteczka. Diana Ross z własnej kieszeni dołożyła do „interesu” jeszcze 200 000 dolarów.

Mick Jagger — ojciec dwojga dzieci (trzecie w drodze), zbieracz staroci i dom. tor. ciągle zaskakuje nowymi pomysłami muzycznymi. Ponad 40-letni muzyk wspólnie z zespołem „The Rolling Stones” wydał płytę „Under The Cover”, która została entuzjastycznie przyjęta przez krytyków i słuchaczy. Ciekawe, czy któryś z naszych obecnych idoli (może ktoś z „Lady Pank”) w tym wieku potrafi jeszcze cokolwiek zaskoczyć?

Tegoroczne wręczenie nagród American Music Awards powinno nosić nazwę Michael Jackson-show, ponieważ zgarnął on aż 8 nagród tej fundacji, a to dzięki albumowi „Thriller” i singlowi „Billie Jean” oraz wideokasie „Beat It”. Piosenkarz odbierał nagrody w towarzystwie ostatniej narzeczonej, 18-letniej modelki — Brooke Shields.



Bob Dylan (II)

Ciemne, kręcone włosy, orli nos, niewysoka, lekko przysgarbiona sylwetka. Bob Dylan — legenda amerykańskiej muzyki folk.

Urodził się 24 maja 1941 roku w Duluth (Minnesota) w Stanach Zjednoczonych. Naprawdę nazywa się Robert Zimmerman, a obecny pseudonim przybrał w początkach kariery prawdopodobnie od nazwiska angielskiego poety — Thomasa Dylana. Na gitarze zaczął grać mając 12 lat. Zafascynowany muzyką zaczął studia na Uniwersytecie w Minnesocie, bardziej jednak interesował się gitarą niż wykładami. Porzucił naukę i w 1961 roku wyjechał do Nowego Jorku. Ze zdziwieniem stwierdził, że największą popularnością cieszyła się tu właśnie muzyka folk. Nic prostszego, jak wziąć gitarę lub organki — instrumenty, którymi świetnie się posługiwał — i spróbować szczęścia. Włączył się więc w nurt życia muzycznego, występował w klubach, komponował, a przede wszystkim rywalizował z innymi śpiewakami — chciał być najlepszy. Miał już pewne doświadczenia muzyczne — krótki okres współpracy z Woody Guthierem, ówczesnym

idolem i klasykiem folk music. Grał z zespołami „Ramblin' Jack Elliott” i „Cisco Houston”, współpracował również z Davem Van Ronkiem i Tomem Paxtonem. W środowisku zyskał sobie spore uznanie. Jego osobowość działała na widzów jak magnes: sale, w których występował, okazywały się za ciasne, tak wielu chciało usłyszeć chrapawy, ale efektowny sposób śpiewania nowej gwiazdy.

W dwa miesiące po przyjeździe do Nowego Jorku Dylan przyłączył się do znaczącego w owym czasie zespołu „John Lee Hooker”, który działał przy Gerde's Folk City w Greenwich Village. Ciągłe czekał na sukces. W tym czasie uczestniczył w nagraniu płyty Harry'ego Belafonte'a, potem przegrywał Carolin Hester. Jego poczynaniami zaczęli się wreszcie interesować dziennikarze. Robert Shelton w dość obszernym artykule zamieszczonym w „New York Times” zareklamował dotychczasową pracę Dylana. Zwróciło to uwagę Johna Hammonda z Columbia Records, który zaproponował muzykowi pierwsze, wymarzone nagranie płytowe. Menadżerem Boba został Robert Grossman.

Pod koniec 1961 roku ukazał się jego pierwszy album zatytułowany

PRZYPOMINAMY

„Bob Dylan”, na którym utrwalił tradycyjne bluesy — śpiewane jednak inaczej niż przewidywał kanon. Wśród odbiorców wywołało to sensację i zwiększyło zainteresowanie jego twórczością. Ale firma fonograficzna nie była zbyt poruszona tymi reakcjami, toteż Grossman zdecydował, iż promotorem płytowym będzie Tom Wilson. W czasie tych „organizacyjnych” przeprychanek Dylan wydał singel z utworami: „Mixed Up Confusion” i „Corrine, Corrine”. Była to dziwna krzyżówka folk i rocka i młodego cieszyła się nieprawdopodobnym powodzeniem — płyta natychmiast zniknęła ze sklepów.

Albumem, który umocnił pozycję śpiewaka na rynku wydawniczym był — jakże odmienny od pierwszego longplaya — „The Freewheelin' Bob Dylan”. Zawierał przede wszystkim kompozycje Boba, ale także różne stylizacje. Krytycy pisali wtedy, że „Dylan odkrył folk-protest”. Pieśni „A Hard Rain's A Gonna Fall”, „B'win In The Wind” i „Masters Of War” stały się klasycznymi protest-songami, zaś antywojenna pieśń „With God On Our Side” i nagranie tytułowe — hymnem młodych.

Nikt przed nim ani po nim nie opisał Ameryki tak wnikliwie i tak przejmująco. Jego wiersze i muzyka sprawiły, że miliony młodych Amerykanów zaczęły szukać nowych treści i nowych środków wyrazu w kulturze ludowej. Na ulicach zaczęli pojawiać się młodzi chłopcy — w dżinsach i krakusach — śpiewający pieśni kowbojów, drwali czy marynarzy, a także dziewczęta — z rozpuszczonymi włosami, ubrane w workowate, własnej roboty sukienki — śpiewające piosenki-skargi rodem z XVII-wiecznej Anglii.

Ich duchowym przywódcą był oczywiście Bob Dylan, który śpiewał im w „What Have They Done To The Rain?” o wielkim deszczu, który nie jest ani opadem, ani aktywnym, ani też biblijnym polem. Wielki deszcz — to kłamstwo, którym ludzie napychają sobie głowy, które każą wierzyć w zasadę „oko za oko”. Pisał także o Murzynach, do których strzela Ameryka, o farmerze z Południowej Dakoty, który za ostatniego dolara kupił siedem naboju i nie widząc nadziei na przetrwanie zastrzelił całą rodzinę i siebie. Ale śmierć nie zmieniła niczego — gdzieś urodziło się siedmiu nowych ludzi.

O tym śpiewał Dylan, gdy rozpoczynał swoją karierę, co było później — za tydzień.

tymczasem całuje

Popularność muzyki rockowej zrodziła liczne rzeczy wielbieli poszczególnych zespołów. W tym nie pozostają nastolatki z naszego regionu — działają m.in. zwolennicy „Lady Pank” (filia wrocławskiego Fan-clubu „Obcy”). Ich siedzibą jest klub „Relaks” w Białymstoku, przy ul. Zwycięstwa 25/1. Dziennie przychodzi tu po kilka listów w rodzaju:

„Bardzo Was kocham i chciałabym wyjść za jednego z Was za mąż. Tymczasem całuję tego, co śpiewa.

P.S. Jak będziecie na koncercie w Szczecinie, to przyjdźcie do mnie. Adres na kopercie.

albo:

„Proszę napiszcie, czy macie żony albo dziewczyny, bo jestem w Was bardzo zakochana”.

Niektóre wielbiciele proponują po prostu to, co w tym wieku mają najcenniejszego. Największym powodzeniem cieszy się, oczywiście, lider — Jan Borysewicz.

Nielatwie więc zajęcie wybrali sobie działacze z białostockiego Fan-clubu zespołu „Lady Pank”. Odpisują, tłumaczą, podają informacje o działalności grupy. Wydali nawet — na papierze maszynowym — gazetkę, w której można wyczytać, jak wspaniałym muzykiem jest Jan Borysewicz. Organizują konkursy o życiu, strojach, ulubionych potrawach i napojach członków najlepszego (oczywiście w ich mniemaniu) zespołu młodzieżowego w

kraju. Spotykają się na wieczorach poświęconych muzyce ulubionej grupy, a przede wszystkim

marzą o spotkaniu z idolami. Kiedyś przed koncertem wybrali się, przepraszam, wybrały się (bo de-

legacja była żeńska) za kulisę, by porozmawiać z obiektem tysięcy westchnień licealistek — Jankiem Kupiły szampana i nie bardzo wiedziały, jak go wręczyć. Wreszcie zdecydowały się. Usłyszały wtedy: — Ach, szampan! Fajnie, dziękuję, ale muszę nastroić gitarę. Pa, pa — i zniknął w garderobie.



SEX-symbol

Therese Crenshaw, znana terapeutka od seksu, kierująca kliniką w San Diego, przeprowadza ostatnio rozmowy z osobami pozostającymi pod urokiem ulubionych bohaterów filmowych i telewizyjnych, którzy stanowią sex-wzorce. Zdaniem dr Crenshaw — takie sex-symboly jak np. Farah Fawcett, Jacqueline Bisset względnie Tom Selleck czy Burt Reynolds wywołują pozytywne i negatywne reakcje tych osób.

Kiedy jakaś kobieta ogląda aktora w romantycznej scenie z atrakcyjną partnerką, automatycznie porównuje go ze swym mężem, konstatując, że ten ostatni jest nie-

ciekawy i pospolity. Takie porównanie wprowadza zamęt w jej osobiste życie seksualne, jest częstokroć przyczyną niechęci do stałego partnera. Są również kobiety marzące, które podczas intymnych chwil z mężem wyobrażają sobie niekiedy, że przybrał on postać idealnego amanta.

Podobne zjawisko zachodzi również u niektórych mężczyzn. Jeśli są to osobnicy obdarzeni wyobraźnią, rezultat takich porównań może być pozytywny dla uzyskania seksualnej satysfakcji.



3
KONTAKTY
26 II 1984

eurotra

maszyna do tłumaczenia

300 mln funtów szterlingów rocznie przeznacza Europejska Komisja Ekonomiczna (EEC) na opłacanie tłumaczy, którzy wykonują prace na jej zlecenie. Jedynym sposobem na zredukowanie tak wysokich kosztów byłaby maszyna do tłumaczenia. EEC dysponuje już takim urządzeniem, ale pozostawia ono jeszcze wiele do życzenia. System o nazwie „Syrstran” przekłada trafnie 8 na 10 wyrazów. Poza tym teksty z dziedzin technicznych nie są najlepsze.

Specjaliści z 11 uniwersytetów w krajach zachodnich Europy opracowują maszynę do tłumaczenia, która przekładałaby różnego rodzaju dokumenty na 42 języki. Przewiduje się, że system o nazwie „Eurotra” zacznie być stosowany już od 1986 r. Przy korzystaniu z urządzenia możliwe będzie pisanie tekstu na maszynie w jednym języku, a wydrukowanie go — już w innym.

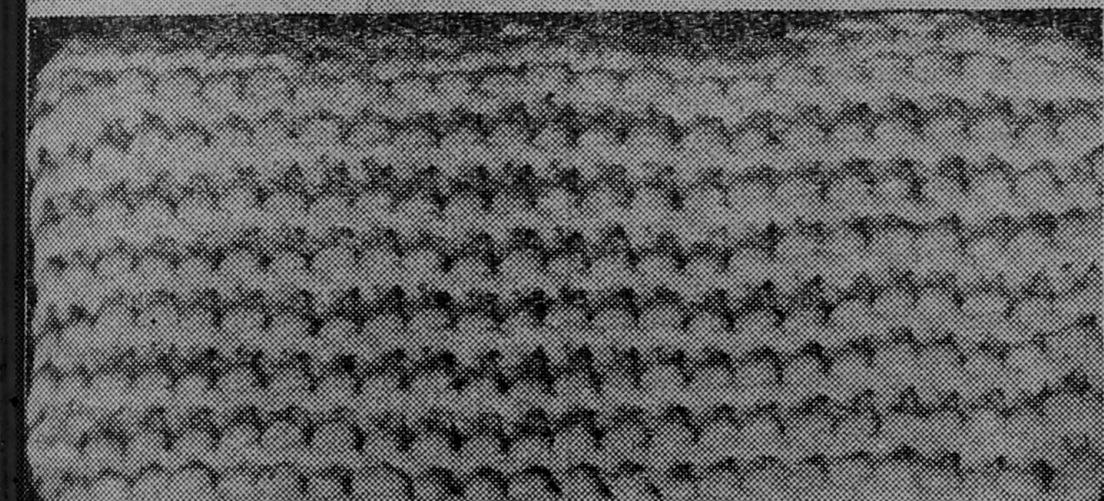
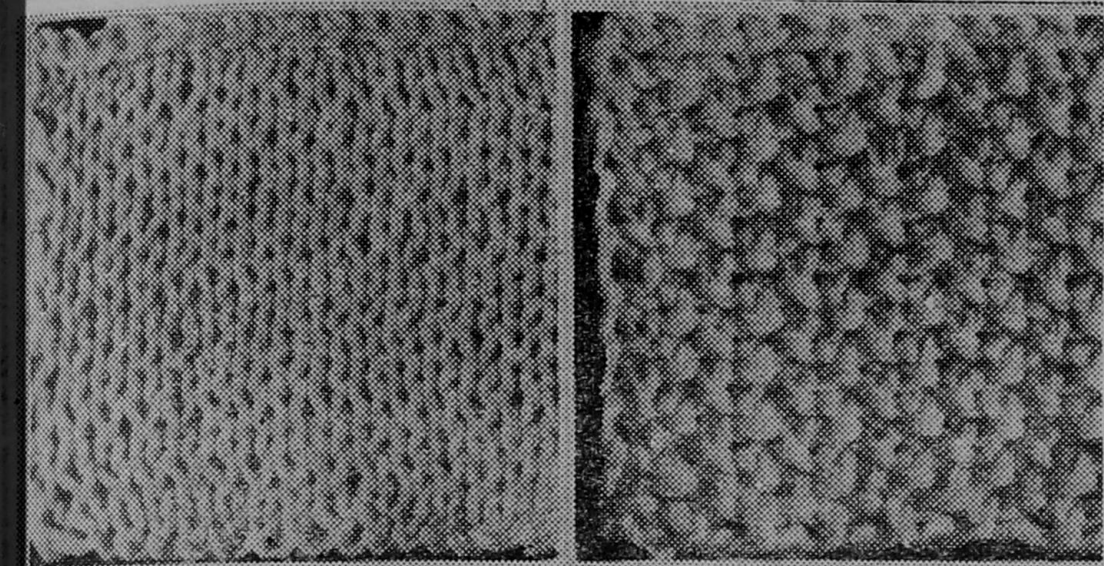
TANIE DANIE

dorsz po grecku

Składniki: 50 dkg filetów z dorsza, 2-3 łyżki oleju; **sos grecki:** 8 dkg marchwi, 5 dkg selera, 5 dkg pietruszki, 10 dkg cebuli, 5 dkg koncentratu pomidorowego, 2-3 łyżki oleju, sól, cukier, ocet, pieprz, papryka.

Dorsz oczyścić, opłukać, odcisnąć z wody, odfiletować, pokrajać w poprzek na kawałki szerokości 4 cm, osolic, usmażyć, ułożyć na długim półmisku. Przyrządzić sos grecki. Warzywa oczyścić, opłukać,

pokrajać w cienkie paseczki razem z obraną cebulą. Włożyć do rondelka na rozgrzany tłuszcz, zasmażyć, dodać 2-3 łyżki wody, osolic i dusić do miękkości. Pod koniec duszenia włożyć koncentrat pomidorowy, przyprawić do smaku solą, cukrem, octem lub kwaskiem cytrynowym, pieprzem, papryką. Można dodać musztardę. Sos powinien być gęsty o smaku słodkawo-kwaskowym. Dorsz polać sosem. Można podawać na gorąco lub zimno.



ROBÓTKI NA DRUTACH (7)

SPLIT DZERSEJOWY. Nabrać na druty potrzebną liczbę oczek. Przerabiać kolejno: jeden rząd — oczka prawe, następny — lewe.

SPLIT RYŻOWY POJEDYŃCZY. Nabrać na druty wymaganą liczbę oczek. Rząd 1: pierwsze oczko brzegowe zdjąć z drutu bez przerabiania; powtarzać do końca rzędu: 1 oczko prawe, 1 — lewe; ostatnie przerobić na lewo. Rząd 2: pierwsze oczko brzegowe zdjąć z drutu bez przerabiania, powtarzać do końca rzędu: 1 oczko lewe, 1 — prawe; ostatnie przerobić na lewo.

Następne rzędy — jak 1 i 2.

SPLIT RYŻOWY PODWOJNY. Nabrać na druty parzystą liczbę oczek. Rząd 1: pierwsze oczko brzegowe zdjąć z drutu bez przerabiania, powtarzać do końca rzędu: 1 oczko prawe, 1 — lewe; ostatnie przerobić na lewo. Rząd 2: pierwsze oczko brzegowe — jak wyżej; powtarzać do końca rzędu: 1 oczko lewe, 1 — prawe; ostatnie przerobić na lewo.

sploty podstawowe

ko prawe, 1 — lewe (należy uważać, żeby oczka prawe znajdowały się nad oczkami prawymi, zaś oczka lewe — nad lewymi). Rząd 3: pierwsze oczko brzegowe — jak wyżej; powtarzać do końca rzędu: 1 oczko lewe, 1 — prawe (należy zmienić w tym rzędzie kolejność oczek: oczka prawe poprzedniego rzędu przerobić oczkiem lewym, oczko lewe — prawym). Rząd 4: pierwsze oczko brzegowe — jak wyżej; powtarzać do końca rzędu: 1 oczko lewe, 1 — prawe (uważać, by oczka prawe były nad prawymi, lewe — nad lewymi); ostatnie przerobić na lewo.

Powtarzać od rzędu 1.

SPLIT FRANCUSKI. Rzędy parzyste i nieparzyste przerabiać tylko oczkami prawymi lub tylko lewymi.

zupa z kaczek

Hodża przechodząc raz koło stajni dojrzał pływającą po nim stado kaczek. „Warto by jakąś zlać” — pomyślał i ruszył w kierunku stada, które jednak natychmiast się rozprzeczło.

Wówczas Hodża usiadł na brze-

gu i zaczął jeść trzymany w ręce chleb mocząc w wodzie każdy kawałek.

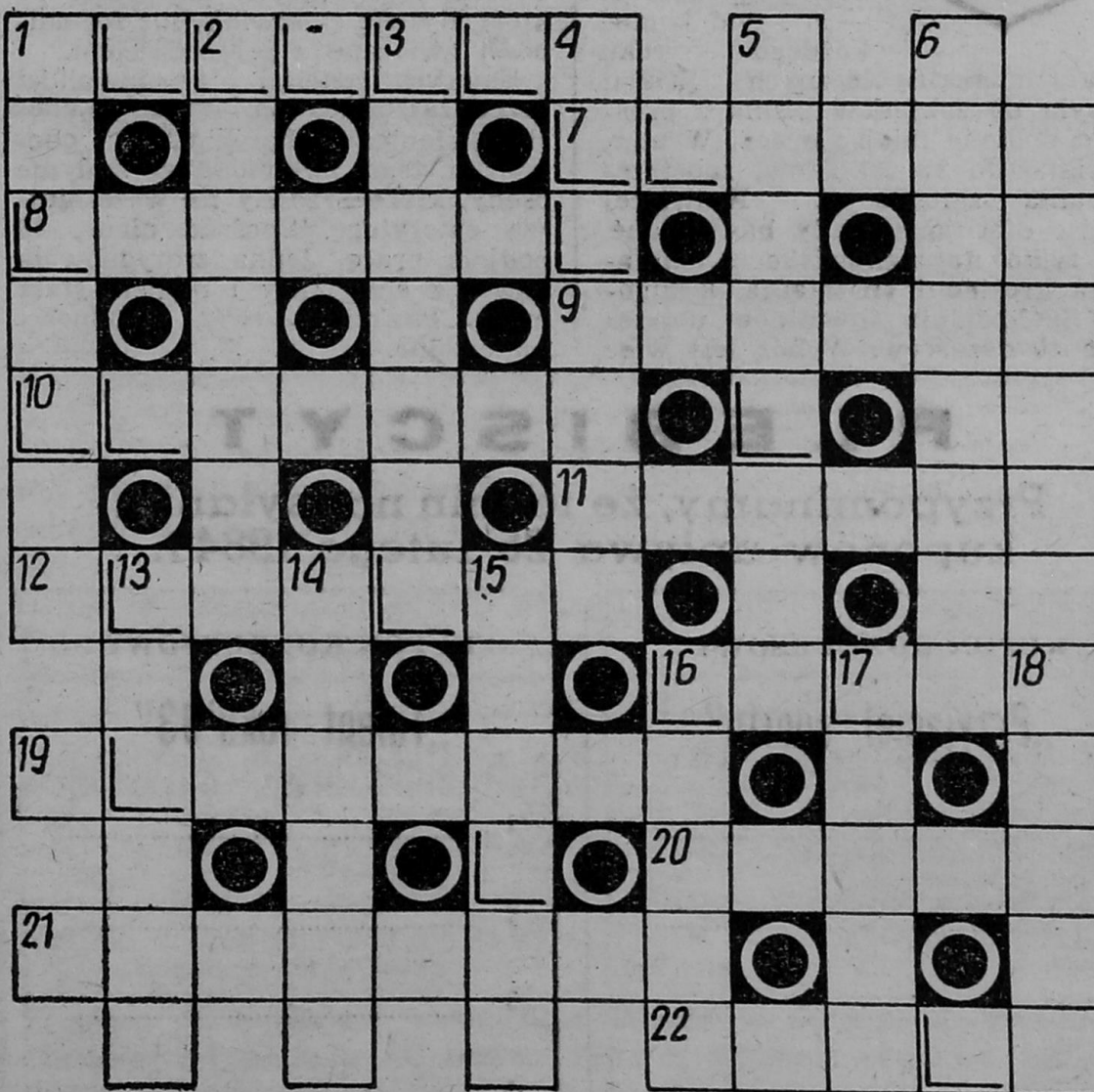
— Smacznego, efendi! Co ty jesz?

— zapytał ktoś z przechodzących.

— Zupę z kaczek! — odpowiedział Hodża.

uroki ciemnych ulic

W 1819 r. w Kolonii miejscowa gazeta wydrukowała artykuł, w którym protestowała ostro przeciwko instalowaniu w mieście gazowego oświetlenia ulic. Argumentowała, że oświetlenie to „narusza odwieczny porządek boski, zgodnie z którym w nocy jest ciemno; zachęca ludzi do przebywania nocą na ulicach, co prowadzi do chorób takich jak kaszel, przeziębienie lub zapalenie płuc; ułatwia pijakom nocne wędrówki po ulicach i osłabia strach przed ciemnością, który jest hamulcem grzechu; osłabia efekt galowych oświetleń w dni festiwnych i świąt narodowych”.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z oznaczonych kratek, czytane rzędami poziomymi, utworzą przysłowie polskie.

POZIOMO: 1) niewiasta, 7) bałagan, brak porządku, 8) oczyszczanie jakiegoś środowiska, 9) anyż gwiazdkowy, 10) sławny wodospad na granicy USA z Kanadą, 11) amory, 12) rodzaj podłużnego bębna, 16) dwutlenek krzemu, 19) istota dziwna, niesamowita, 21) członek tajnego stowarzyszenia młodzieży wileńskiej, działającego w latach (1817-23), 22) grzyb lub ptak.

PIONOWO: 1) część mieszkania, 2) składa się z kilku pułków, 3) podwyższenie, na którym występują artyści, 4) tytuł dzieła Ksenofanta, 5) promieniotwórczy pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 101, 6) dawniej podatek nakładany na nieruchomości, 13) słynny port norweski, znany z walk żołnierzy polskich, 14) rybi przysmak, 15) najstarszy z filisaków, 16) kurtka dżokeja, 17) zbiornik wodny, 18) ktoś bliski z rodziny. („HCL”)

Wśród Czytelników, którzy nadesłali w terminie 10-dniowym pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

Stragan pod trzynastką



wieści grodzkie

JEDWABNE



Właściwie nie ma co rozpacz — nie była to supernowoczesna wytwórnia coca-coli czy toniku, a jedynie geosowska rozlewnia wód gazowanych, produkująca kilka rodzajów napojów chłodzących. Rozlewano też piwo z beczek do butelek. Roczna produkcja sięgała 174 tysięcy litrów i nie była za wielka, jak na potrzeby okolicznych miejscowości — ale więcej z wysłużonych maszyn nie dało się wyciągnąć.

Od dziesięciu lat przedstawiciele Sanepidu w protokołach pokontrolnych zapisywali usterki. Nigdy nie dało się ich do końca usunąć. Jak w ciasnym starym budynku powiększyć pomieszczenie magazynowe, albo uszczelnić je przed gryzoniami? Były też zobowiązania do powiększenia pomieszczeń socjalnych (jeden przysięgł służyć kilku-nastu pracowników). Sanepid miał

zastrzeżenia do mycia butelek, bowiem do dyspozycji był jedynie 80-litrowy bojler do podgrzewania wody. Oddano maszyny do remontu, ale grajewski „Zakrem” nie wykonał go należycie — rozlewnia wróciła niezakonserwowana, trzeba było uruchomić jeszcze starszą.

O zamknięciu rozlewni przesadzili pęknięcia sufitu — w każdej chwili mógł runąć. Pracownicy w większości nie czekali, aż zakład zostanie zamknięty, poszukali sobie pracy gdzie indziej.

Rozpoczął się demontaż maszyn, ale niewielu jest chętnych, aby je kupić. Według ocen fachowców w rzemieślniczej wytwórni mogłyby pracować jeszcze kilka lat.

W GS-ie myślał już o nowej rozlewni z dziennej produkcją co najmniej 5 tys. litrów. Zanim to nastąpi, w napoje zaopatrywać będzie rozlewnia w Piątnicy, która zobowiązała się w pełni pokryć potrzeby miasta i gminy.

SZCZUCZYN

Budowa trzech krytych basenów w Łomżyńskim utknęła na tym samym etapie i od 6 lat nic się nie robi. Mimo że do inwestycyjnego boomu daleko, miejscowy POM postanowił przerwać wstydliwą beczynność i dokończyć budowę tego co beztrosko pozostawili inni. Okazało się jednak, że niezbędne są ekspertyzy. Inwestor szczuczyńskiego basenu, Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji zobowiązał się dostarczyć zalecenia, jakich zabiegów konserwacyjnych wymagają fundamenty i konstrukcja. Prace murarskie przy naprawie wykonałaby prawdopodobnie grupa budowlana Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Natomiast konstrukcję żelazną przed korozją zabezpieczyłby POM, gdyby otrzymał przy-



dział 2 ton farb. Brygada pomowska zmontowała by ściany ze składowanych elementów, co według wstępnych obliczeń będzie kosztowało ok. 2

milionów złotych. Rozpoczęcie robót wstrzymuje jednak brak ekspertyz. Do pełnego optymizmu brakuje też wykonawcy urządzeń wodnych — pracownicy POM-u nie czują się przygotowani do ich wykonania. Powinna się tym zająć firma specjalistyczna.

Od szybkiego przygotowania dokumentacji zależy, czy inicjatywa POM-u zostanie wykorzystana. Na pomyślnie rozstrzygnięcie czekać też będą z niecierpliwością mieszkańcy Łomży i Ciechanowa.

ZAMBRÓW

niewielki, ale chętnych nie brakuje. Zgłaszają się nawet renciści z drugą grupą inwalidzką. Przed dwoma tygodniami zarejestrowanych było 6 osób oczekujących na pracę, z których dwie załatwiają już formalności związane z jej podjęciem.

Emercy, renciści i inwalidzi przed zatrudnieniem muszą poddać się badaniom lekarskim. Z obowiązku tego zwolnione są jedynie osoby, które przeszły na wcześniejszą emeryturę. Spośród nich 13 podjęło pracę. Jedna zrezygnowała nawet z emerytury i podjęła stałą pracę. Powodem były trudności materialne.



Wzrosło ostatnio zainteresowanie rencistów i inwalidów dodatkowymi zarobkami. W 1982 r. zatrudniło się 30 osób, a w 1983 r. — 57. Pod koniec

roku Dział Służb Społecznych ZOZ-u wysłał do zakładów pisma z prośbą o podanie miejsc pracy. W ub.r. wysłano do 27 zakładów, zapotrzebowania zgłosiło 7. Najwięcej miejsc oferują zakłady bawelniane, ale tylko na stanowiskach omiatacza krosien i sprzątacza. Usługowa Spółdzielnia Inwalidów potrzebuje 10 dozorców. Wybór jest więc

PLEBISCYT

Przypominamy, że termin nadsyłania kuponów upływa 25 lutego 1984 r.

KUPON KONKURSOWY

„Przyjaciel sportu”

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5

Imię, nazwisko i adres

KUPON KONKURSOWY

„Talent roku '83”

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5

Imię, nazwisko i adres

praca szuka A ON człowieka UCIEKA

Zgodnie z konstytucyjną zasadą ustroju społeczno-gospodarczego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — „praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela”, dlatego społeczny sprzeciw budzi fakt uchylania się od pracy użytecznej społecznej grupy ludzi i utrzymywanie się ze źródeł sprzecznych z prawem lub zasadami współżycia społecznego.

Jednym ze środków walki z przestępstwami uchylania się od pracy jest ustawa z dnia 26 października 1982 roku. Stanowi ona, że mężczyzna, który ukończył 18 lat, a nie przekroczył 45, jeżeli co najmniej przez okres 3 miesięcy nie pracuje lub nie pobiera nauki w szkole i nie jest zarejestrowany jako poszukujący pracy, ma obowiązek zgłosić się do terenowego organu administracji państwowej stopnia podstawowego.

Osoby zgłaszające się są wpisywane do ewidencji. Podstawą wpisanego do ewidencji jest również prawomocne orzeczenie kolegium ds. wykroczeń o ukaraniu za niedopełnienie obowiązku zgłoszenia się do urzędu. Natomiast zadaniem terenowej służby zatrudnienia jest nakłonienie do pracy społecznie użytecznej osób ujętych w ewidencji. Gdy nie daje ono efektów ze względu na brak dobrej woli obywateli — organy administracji wszczynają postępowanie o wpisaniu ich do wykazu osób uparczywie uchylających się od pracy.

Intencją ustawodawcy nie jest wyłącznie nakłonienie do pracy wszystkich osób z ewidencji, lecz przede wszystkim ustalenie przyczyn ich pozostawania bez zajęcia. Są wśród nich bowiem i takie, którym na zatrudnienie nie pozwalają np. stan zdrowia, warunki rodzinne, czy inne okoliczności uznane za społecznie usprawiedliwione. Tacy uzyskują pomoc w otrzymaniu pracy lub przyuczeniu do zawodu.

Część osób z ewidencji uparczywie uchyla się od podjęcia pracy. Wielu mężczyzn otrzymuje skierowania i podejmuje zatrudnienie bądź po przepracowaniu kilku czy kilkunastu dni porzuca stanowiska. Są również i tacy, którzy zostają zwalniani w trybie dyscyplinarnym. Jeszcze inni nie chcą w

ogóle przyjmować żadnej z przedstawianych im propozycji pracy.

W Łomżyńskim w końcu stycznia br. na ewidencji osób uchylających się od pracy figurowało 30 mężczyzn. Z liczby tej 6 podjęło naukę w celu zdobycia kwalifikacji zawodowych, a 27 skierowano do pracy, przy czym tylko w stosunku do 189 fakt zatrudnienia został potwierdzony przez zakłady. Natomiast 119 zdrowych panów uparczywie uchyla się od jej podjęcia.

W takiej sytuacji Wojewódzka Rada Narodowa w Łomży w dniu 17 listopada 1983 roku podjęła uchwałę o wprowadzeniu obowiązku pracy. Zostali nimi objęci mężczyźni z miast i gmin Łomża, Nowogród i Stawiski oraz gmin: Piątnica, Miastkowo i Sniadowo. Od dnia 1 stycznia 1984 roku wykonują oni odpłatnie prace na cele publiczne w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży. Każdy z nich musi przepracować 60 dni.

Nie wszyscy wezwani stawili się w Wydziale Zatrudnienia i Sprawy Socjalnych Urzędu Miejskiego. Część osób — z przyczyn uzasadnionych — została zwolniona z obowiązku wykonywania robót, w odniesieniu do pozostałych wszczęło postępowanie wyjaśniające.

Za niestawienie się na wezwanie bez usprawiedliwionej przyczyny grozi obywatelowi uchylającemu się od pracy kara ograniczenia wolności do roku, natomiast za uchylanie się od wykonywania robót na cele publiczne — kara ograniczenia wolności do 2 lat.

Czy sankcje wynikające z obowiązku pracy na cele publiczne rozwiążą problem uchylania się od pracy? Jednoznacznej odpowiedzi udzielić nie można. Wiele zależy od organizującego roboty przedsiębiorstwa, które ma m.in. także obowiązki resocjalizacyjne. Po upływie 60 dni obligatoryjnej pracy na cele publiczne osoby te powinny na stałe zatrudnić się w przedsiębiorstwie lub innym zakładzie, wskazanym przez terenową służbę zatrudnienia.

W następnym artykule zajmijmy się sprawą zatrudnienia absolwentów szkół ponadpodstawowych

ALICJA NAREWSKA

z marginesu

Ponownie nasiliły się kradzieże akumulatorów samochodowych w Łomży. Obecny gang nie składa się bynajmniej ze złodziei dzentelmenów: nie wystarcza im rabunek, często niszczą karoserie lub tapicerkę. Wandalę czystej wody zawitali jedynie na Żeromskiego niszcząc „malucha” Andrzeja G. na 100 tysięcy, nie przy tym nie kradnąc.

W nocy 28 stycznia na stacji PKP Czarnowo 28 (gm. Kulesze Kościelne) ostrołęczcy sokołsi przysłapali na gorącym uczynku włamywaczy do wagonu towarowego. Okazało się, że na siedem worków nasion traw zatkamili się trzech młodych pracowników kolei: Leszek Ch., kierownik okradanego pociągu oraz dwóch konduktorów: Tadeusz K. i Mieczysław K. Dotychczas żaden z nich nie był karany, lecz przeszukania w zabudowaniach Mieczysława K. każą przypuszczać, że z pracy na kolei panowie systematycznie ciagnęli „lewe” zyski: oprócz paru chodliwych towarów znaleźli bowiem 25 plomb z pieczęciami różnych stacji PKP.

Dwaj uczniowie klas drugich łomżyńskich szkół zawodowych urozmaicił sobie nudę oczekiwanie na pociąg do domu rodzinnego próbą zwałcenia J.T. z województwa chełmskiego. Aż strach pomyśleć, jak mogą się nudzić w czasie wakacji!

Kierowniczka sklepu w Raciborach nie dostarczyła do sklepu dywanu wartości 4 tys. zł, za co Sąd Rejonowy w Grajewie ukarał ją 40 tys. zł grzywny. Dodatkowo wyrok miał być podany do publicznej wiadomości na zebraniu ogólnym pracowników GS w Radziłowie.

W stolicy województwa kierownicy sklepów bywają zdolniejsi, choć też upadają. Kierownik sklepu AGD „Eldom” ukrył przed klientami worki dziecięce, prodyż, rozpylacze ogrzewcze, sztucce i czajniki na 200 tys. zł. Tyle żelastwa pod jedną ładą i w tak dobrze strzeżonym przez klientów sklepie.

Z piątnickiego sklepu spożywczego przy ul. Czarnockiej nieznani osobnicy wynieśli papierosy, piwo i inne wiktualie. Lup odnaleziono w bunkrze strzelniczym piątnickich fortów. A dyskusja, jak zagospodarować te zabytki, jeszcze się nie zaczęła na dobre.

Kierowca olsztyńskiej nyski „Unita-Servis” zarywał wyposazów w łomżyńskim „Polonezie”, a złodzieje spokojnie „wyprowadzili” z samochodu 6 radiomagnetonów „Daria”. Wzięli również struktury obsługi.

W łomżyńskim ośledku Południe na ślad za sprytnymi złodziejami poszli jeszcze sprytniejsi milicjanci. Efekt: za krótko mi stęda już trzech złodziei opornych akumulatorów oraz dwa siedemnaście letni włamywacze, którzy w ciągu dwóch tygodni „odwiedzili” kilkanaście mieszkań wchodząc „od ogrodu”, czy drzwiami balkonowymi.

Markowi Z. jakiś gorzej sytuowany kolega „dmuchnął” ze szkolnej szafy kurkę wartości 50 tys. zł. Iwonek G. z kieszeni szkolnej torby ktoś skradł 6730 zł. Ciekawe, jakie „kieszonkowce” otrzymuje tatuś Iwonki.

Jerzy R. z Rakowa Bogini wkradł do pewnego piątnickiego mieszkanka, którego wyniosł kryształową bomboniere i 4 kieliszki. Uciekał z tym krychym towarem tak ostrożnie, że dał się ująć razem z kryształami.

Na zabawie tanecznej w wienickiej gminie rozebrano panienkę z tureckiego kożucha. Takiego zachowania powstrzymał się nawet pogani.

Nowy styl w zakupach „na wynajem” zaprezentowała szczuczyńska Jadwiga K. Upatrzoną lodówkę wydarła sprzedawczyni przemocy, wyniosła przed sklep, po czym rzuciła w sprzedawczyni osmioma tysiącami i sześcioma setkami złotych polskich. Sprzedawczyni okazała się bezzinną, lecz milicjanci znaleźli na boju klientów odpowiedni paragraf.

Jeszcze bardziej bezczelne (styl „wydrze”) zaopatrywanie się w pożywny artykuły trwałego użytku zastosował Waldemar Sz. z Wysokiego Mazowieckiego: z rak szatniarki w restauracji „Jagienka” wyrwał kożuch Kazimierza

Anonimowa babie — o której pisałem, że okradziono ją, podczas gdy ona „saksowała” w Szwecji — serdecznie przepaszmy. Okazało się bowiem, że przebywała tam ona w innym charakterze i poważnych okolicznościach. „Saksach” była natomiast całkiem inną osobą której — póki co — nikt nie okradł. Liczymy na pobłażliwość starszej pani.

Prasa-Książka-Ruch” zamawiająca

warunki prenumeraty



CHING (9)

HEKSAGRAM 17: Stronnicstwo

gora: Tui — jezioro,
przyjemność

ruch...
dół: Chen — piorun,

DECYZJA: Największy sukces. Naleganie na właściwy kurs daje nagrodę i uwalnia od błęd.

KOMENTARZ: Heksagram wyra-

za najwyższy sukces dla tych, co idą za właściwym i upierają się przy tym mocno. Wyraża ideę postępowania zgodnie z rytmem czasu (po linii najmniejszego oporu) itd.

Kiedy już raz oddaliśmy przewodnictwo innym, nie musimy się martwić o to, co powinno być zrobione — możemy spać spokojnie. Nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co się dzieje.

OBRAZ: Piorun w jeziorze — w miejscu zimowego spoczynku. Gdy zapada ciemność, człowiek wartościowy odpoczywa spokojnie.

Linia 1 — Ludzie u władzy podlegają zmianie serca — właściwa determinacja przynosi powodzenie. Poszukiwanie szerszych kontaktów z ludźmi da dobre rezultaty.

Linia 2 — Nie możemy zachować jednego i drugiego, nie możemy zadawać się z obiema kobietami np. należymy do młodszej — to stracimy starszą.

Linia 3 — Należymy do starszej, stracimy młodszą. Na razie nie działać, ale trwać przy podjętej decyzji.

Linia 4 — Naśladujesz kogoś z podłych motywów. Upieranie się przy tym przyniesie nieszczęście, jeśli pozostaniesz wierny — nie doznasz szkody.

Linia 5 — Pełne zaufanie przynosi powodzenie.

Linia 6 — Sam możesz przejąć inicjatywę, osiągnąć oparcie ludzi z otoczenia. Ludzie wpływowi, od których zależy, wyczerpali już arsenał swych szykan.

W czasie, gdy bawił na Zachodniej Górze, król złożył ofiarę.

HEKSAGRAM 18: rozkład

gora: Kên — góra
upór

dół: Sun — wiatr,
drzewo..

DECYZJA: Korzystać z przekroczenia wielkiej wody. Sukces trzy dni przed i trzy dni po. Zastanowienie.

KOMENTARZ: Heksagram wyraża ideę naprawy tego, co zostało kiedyś zepsute, zniszczone i znajduje się w stanie rozkładu. Zapowiada sukces właściwie podjętej naprawy. To, co zdarzyło się raz, z pewnością zdarzy się znowu. Istnieją powody, aby sprawę czy rzecz naprawić i wykorzystać w przyszłości. Jest tu także idea zjawisk cyklicznych, kiedy po każdym cyklu następuje początek.

OBRAZ: Wiatr u podnóża góry. Pobudzając ludzkie serca, człowiek wartościowy wytrąca innych z inercji.

Linia 1 — Trzeba wziąć na siebie błędy poprzedników i naprawić je. Jest to kłopotliwe, ale się opłaci.

Linia 2 — Tylko w pewnej mierze możesz czuć się odpowiedzialny za błędy poprzedników.

Linia 3 — Niewielka odpowiedzialność.

Linia 4 — Pożalujesz swej tolerancji.

Linia 5 — Biorąc na siebie winę za uczynki innych — uzyskujesz chwałę.

Linia 6 — Jest wolny, może robić, co uważa za stosowne. Pod warunkiem, że działa z wyższych motywów.

NIEWIARYGODNE ACZ PRAWDZIWE

Witarianizm — jeszcze bardziej radykalny od weganizmu — wyklucza z diety produkty gotowane, zalecając tylko pokarmy „żywe”, a więc te, które można spożywać na surowo. Witarianie zadowalają się sokami warzywnymi i owocowymi wyciskanymi ze świeżych roślin — hodowanych bez użycia jakichkolwiek chemicznych substancji. Soki i surowki zostają strawione przez organizm w przeciągu 20 minut i zaopatrują jego komórki we wszystkie potrzebne składniki odżywcze. Zyskuje się dzięki temu przyrost energii i jasności umysłu. Witarianom wystarcza białko roślinne, gdyż ich przewód pokarmowy przyswaja znacznie większą ilość białka niż przeciętnego mięsożercy, a przy tym jest czystszy, wolny od śluzu, toksyn i resztek po-

karmowych. Jelita ludzi odżywiających się tradycyjnie są zablokowane najróżniejszymi nieczystościami i nie mogą wchłonąć właściwej porcji gotowanego białka.

★ ★ ★

Dotychczasowe doświadczenia zwolenników witarianizmu są rozmaite. Niektórzy po pierwszych próbach czują się źle i szybko rezygnują, inni osiągają doskonałe rezultaty. Poprawia im się zdrowie, wygląd, samopoczucie, sprawność fizyczna i umysłowa. Najbardziej uchwytym bezpośrednim efektem tej diety jest uwolnienie od nadmiaru śluzu nie tylko przewodu pokarmowego, ale również i dróg oddechowych. Oddech staje się lekki, swobodny, głęboki i tak łatwy i orzeźwiający, jak nigdy przedtem.

LESZEK SZUMAN

ŻYCIE



PO ŚMIERCI

CZY MOŻNA PRZEŻYĆ KRZESŁO ELEKTRYCZNE

(2)

-23-

„Nie rusza się. Już nie żyje”.
— A więc mówiono o mnie. Lecz ja nie byłem martwy. Czulem jednak, że mam tylko głowę. Nic z tego nie rozumiałem. Głowa bez ciała? Właściwie byłem tylko mózgiem. Nagle zdałem sobie sprawę, że znajduję się w samochodzie, który w szaleńczym tempie jedzie po nierównym terenie. To było moje pierwsze świadome wrażenie.
„Jeszcze jeden zastrzyk...” — u-

słyszałem. Wtedy poczułem, że tam, gdzie mi wbito igłę, posiadam serce. Powracałem do życia. Ruszałem zuchwą, lecz jeszcze wiele minut upłynęło, nim zrozumiałem, że mam także i inne części ciała.

Wreszcie udało mi się otworzyć oczy. Zobaczyłem wtedy nad sobą twarz mężczyzny. Spoglądał na mnie kłującym wzrokiem. Ubrany był jak chirurg do operacji, z maską na twarzy.

„Nie ruszać się” — powiedział, kiedy spróbowałem poruszyć głowę.
— Boli — wyszeptalem. — Straszna jazda.

Wóz stanął. Byłem w sanitarce. Po szczegółach poznałem, że był to autobus pogrzebowy przerobiony na salę operacyjną. I w takim wozie przywrócono mnie do życia.

— A więc jednak przybyłście — szepnąłem do jednej z postaci w białej i z maską na twarzy, bo po ich groźnych spojrzeniach poznałem, że to byli nasi ludzie, a nie lekarze.

Pokiwał głową. Co mi miał odpowiedzieć? Szef wydał rozkaz, aby sprowadzić sławnego profesora X. A dalszy ciąg akcji został przez naszych sprawnie zorganizowanych. Kosztowało masę forsy, żeby za pośrednictwem wpływowych senatorów spowodować zgodę gubernatora na wydanie moich zwłok. Przeprowadzili to jednak sprawnie i dzięki temu żyję. Lecz kiedy jestem sam i zamknę oczy, stale mam przed sobą ową zieloną salę o wielkości katedry. Stale też dręczy mnie obawa przed strasznym potworem o szerokim pysku i skośnych oczach.

★ ★ ★

O tej zielonej sali Fred Philipps

myślał do końca życia. Proszono doktora Cornisha kilkakrotnie o wytłumaczenie tego objawu. Myśleli bowiem jego kompani, że chodzi tu o jakąś manię prześladowczą, o początek choroby umysłowej. Lecz doktor przecząco potrząsał głową: — My tej zagadki nie wyjaśnimy. Dajmy lepiej spokój jego mózgowi. Możliwe, że na skutek żaru posklejało się w nim kilka komórek i w ten sposób w korze mózgowej powstały anomalie. Te objawy to on przeżyje. Niech sobie spokojnie wspomina ową zieloną salę. Dobrze, że się to nie skończyło gorzej.

Fred Philipps miał zdrowie jak tur. Z czasem jednak — mogło się okazać, że on nadal żyje i przebywa w Meksyku, co groziło perspektywą ponownej wizyty na krześle elektrycznym — zaczął pić. Szczególnie w nocy nawiedzały go częste napady strachu, gdy we śnie czy na jawie pojawiał się tajemniczy potwór.

W ten sposób Fred Philipps zachorował na marskość wątroby, a na to nic nie mógł poradzić nawet doktor X.

Opinia publiczna nie dowiedziała się nigdy, czy tajemniczym doktorem X, który Freda sprowadził z tamtego świata, był doktor Cornish, czy też ktoś inny.

Doktor Cornish jest światową sławą w dziedzinie doświadczeń z martwymi zwierzętami. Twierdzi on m.in., iż może przywrócić do życia zwierzęta, które utraciły życie nawet przed kilkoma dniami, ale pod warunkiem, że natychmiast po zgonie umieści się je w lodówce.

W prasie fachowej szeroko omawiany i długo dyskutowany był jego eksperyment z foksterierem. Zwierzę uspięno mieszkanką eteru z azotem. Po sześciu minutach serce psa przestało bić. Lekarz otworzył mu wtedy żyłę i strzyknął w nią dawkę roztworu soli nasyconej z dodatkiem adrenaliny, wyciągu z wątroby i niewielkiej ilości krwi królika, z której usunięto czynniki koagulacyjne.

W tym stanie psa włożono do lodówki. Po kilkudziesięciu godzinach wyjęto go stamtąd i kołysząc masowano. Bez przerwy podawano mu tlen. Po kilku minutach martwy dotąd czworonóg zaczął drgać, ruszać nogami, a jego serce podjęło normalną pracę.

W stanie między życiem a śmiercią pies trwał osiemnaście godzin i trzynaście minut. Przy tym normalnie oddychał i poruszał kończynami, lecz kiedy mu zaaplikowano roztwór glukozy, zakończył życie, tym razem na dobre.

Doświadczenie to nie było oryginalnym rozwiązaniem doktora Cornisha. Z podobną myślą nosił się bowiem przed prawie czterdziestu laty jego nauczyciel George Washington Crile.

Doświadczenie z Fredem Philipsem jest poniekąd tajemnicą, gdyż lekarzowi — wykonawcy zabiegu — nie można niczego udowodnić. Żadne z państw oficjalnie na taką próbę w klinice czy szpitalu nie wyrazi zgody. O przeżyciach osób, które przywrócił do życia, doktor Cornish milczy też uparcie.

(Cdn.)

wiedza tajemna

organ sumoisty pod redakcją
Joanny Sahillo i Andrzeja Wesolowskiego

wiedza tajemna